ROK III. Nr. 1 (101). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 1 stycznia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



DOSIEGO ROKU!... (fot. Paramount)

Z. DĘBICKI.

U PROGU NOWEGO ROKU

Jest zwyczaj w świecie kupieckim, że na Nowy Rok zamyka się księgi handlowe, podsumowuje rachunki zysków i strat i przygotowuje materjał do bilansu, który powinien być zestawiony nie później, jak w końcu marca.

Otóż tego dobrego kupieckiego zwyczaju niema w dziedzinie życia kulturalnego narodu. Niema zaś dla tego, że go być nie może, bo to życie, będące ciągle w stanie płynnym, nie zatrzymuje się ani na chwilę i nie znosi żadnych określonych a cóż dopiero stałych ram.

Jeśli idzie o cywilizacyjny dorobek materjalny, to oczywiście można z łatwością obliczyć w końcu każdego roku, i to bardzo dokładnie, nietylko ilość domów, jakie nam przybyły od stycznia do grudnia, ale również ilość książek, wydanych w tym okresie.

Nie możemy jednak obliczyć i ująć w kolumny cyfr statystycznych tego, co na przestrzeni roku działo się w duszach i umysłach ludzkich i co wcale nie przestanie się w nich dziać z wybiciem godziny 12-ej w nocy z 31-go grudnia na stycznia.

Dlatego o dorocznym bilansie tego życia nie może być mowy. Ma ono niewątpliwe swoje zyski i swoje straty, ale te są dla nas nieuchwytne. Ujawni je dopiero kiedyś historja całej epoki, obejmująca dzieje jednego lub kilku pokoleń. Tak np. wiemy już dzisiej wcale dokładnie o tem, co nam dał wiek oświecenia albo co nam dała epoka romantyczna. Nie jesteśmy jednak zdolni zdać sobie sprawy z tego, co nam dają czasy dzisiejsze, jakie pod ich wpływem zachodzą rzeczywiste a jakie złudne tylko przemiany w umysłowości i duchowości współczesnej.

To też zbyt pochopne są wszelkie w tym kierunku osądy i wszelkie, wyciągane z tych osądów, horoskopy na przyszłość, i to zarówno w kierunku pesymistycznym, jak w kierunku optymistycznym. I pesymiści i optymiści popełniają bowiem jeden i ten sam błąd: zabardzo się spieszą, za skwapliwie dążą do uogólnień.

Tymczasem wiemy napewno tylko jedno, że jesteśmy w stanie wrzenia ideologicznego, że, podobnie jak na całym świecie, ścierają się i u nas najrozmaitsze z sobą prądy, że walczą z sobą najrozmaitsze prawdy, że idee, które do niedawna mogły rościć sobie prawo do miana powszechnych, usankcjonowanych przez doświadczenie, straciły obecnie bardzo na tej powszechności i podmywane są przez falę inną, nową, która znów nie ma za sobą jeszcze doświadczenia i dla tego w wielu umysłach nie budzi zaufania.

W takim stanie rzeczy bardzo trudno jest odpowiedzieć na pytanie, czem właściwie żyją dusze i umysły współczesne, o co się opierają przedewszystkiem, co jest w nich i dla nich prawdą, a co złudzeniem lub kłamstwem?

Nikt, odpowiadając na to pytanie tak lub inaczej, nie może twierdzić, że się nie myli.

A jednak bardzo dużo jest wśród nas takich nieomylnych ludzi.

Jedni twierdzą, że cała cywilizacja zachodnio - europejska jest w upadku, w stanie rozkładu, że człowiek załamał się moralnie i nie jest już zdolny do wykrzesania z siebie woli innego, lepszego życia, lecz pogrąża się coraz głębiej w bagno, które go w końcu pochłonie.



Grupa dziewcząt, wychowanek kościoła Saint Dustan, w Acton, śpiewają tradycyjną kolendę, zwaną „Carols".

Ten ryczałtowy w stosunku do cywilizacji współczesnej pesymizm jest źródłem bardzo licznych i bardzo pospolitych biadań na wszelkiego rodzaju „upadki". Słyszymy więc dokoła siebie bardzo często narzekania na upadek nauki, upadek literatury, upadek sztuki i t. p.

Ludzie tak czarno patrzący na świat widzą dokoła siebie tylko gruzy i ruinę.

Ale — z drugiej strony — nie brak opinji wręcz sprzecznych z poprzedniemi.

Czasy obecne — powie nam optymista — są czasami przejściowemi. Kataklizm, jakim była wielka wojna, musi mieć swoje następstwa. Życie jednak nie stoi w miejscu. Zasadniczem jego prawem jest prawo odnawiania się. Odnawia się też ono nieustannie i nieustannie tworzy nowe wartości. To, że ich na razie nie dostrzegamy, nie dowodzi wcale, że ich nie ma. Przeciwnie, wzrastają one z każdym dniem, tylko oczy nasze są jeszcze ślepe, aby mogły ocenić je należycie. Ale skoro przejrzymy, przekonamy się, że nie stoimy u progu upadku, lecz u progu odrodzenia.

Po czyjej stronie jest słuszność? Zapewne, jak zwykle, prawda leży pośrodku.

Jeżeli jednak idzie o to, co wybrać w chwili, kiedy nieśmiałym i niepewnym krokiem przejść mamy przez kalendarzową granicę, ustanowioną pomiędzy starym a nowym rokiem, to wydaje nam się rzeczą o wiele ponętniejszą przymknięnie do optymizmu, który z ufnością patrzy w jutro i wierzy w odnowicielską siłę życia.

Upadamy? Nie. Idziemy raczej ku odrodzeniu poprzez ciężką i bolesną nawet przemianę, ale ku niewątpliwemu odrodzeniu człowieka, a przez niego społeczeństw ludzkich i narodów.

Człowiek, mimo wszystkich grzechów i zbrodni, które ciążą na jego sumieniu, nie jest ostatecznie złym ani z gruntu ani do gruntu. W dorobku swoim na przestrzeni tysiącleci ma on także wiele dobrego. Ufamy też, że Dobro na szalach świata ostatecznie przeważy i że moment tej przewagi jest przed nami. Z tą ufnością rozpoczynamy nowe życie w nowym roku.

Wszystkim naszym prenumeratorom i czytelnikom składają serdeczne życzenia pomyślnego Nowego Roku

Wydawcy i Redakcja

BRUNO WINAWER.

Życzenia spełnione

Prawdę mówiąc — wszystkie najbardziej fantastyczne powieści "„fantastyczne" mają wspólny i przytem dość prosty plan konstrukcyjny. Wiem to z własnego doświadczenia, sam takie rzeczy pisałem.

W pierwszych rozdziałach, autor, razem z sympatycznym bohaterem — inżynierem biedzą się nad jakimś niebywałym, fenomenalnym, epokowym wynalazkiem: metal, lżejszy od powietrza, nowy materjał wybuchowy, samolot kosmiczny, skarby na dnie oceanu, zmiana klimatu, podróż na Marsa w drewnianej pace, tajemniczy kraj wiecznej młodości, diamentowa grota, kopalnie radu i złota pod biegunem... Aż wreszcie po niewysłowionych trudach — patrzcie państwo! Jest! Eureka! Coś się wreszcie takiego staje i uszczęśliwiona ludzkość woła brawo! tudzież hosanna! Wiwaty, tańce, ognie bengalskie, upojeni radością starcy całują przechodzące kobiety, młodzież, zwolniona ze szkół, gra w klipę na placach publicznych.

W tem miejscu autor stawia zazwyczaj kropkę, zawija rękopis w gazetę wczorajszą i idzie do wydawcy po zaliczkę.

Niestety — w życiu jest inaczej. Tu powieść ma zawsze ciąg dalszy i jej „radosny epilog" wygląda o wiele smutniej, niż w książkach dla młodzieży.

Żadna z wielkich epok historycznych nie zdobyła się na tyle wynalazków genjalnych, ile nasza. Od trzech dziesiątków lat mamy skrzydła, potrafimy fruwać przez trzy tygodnie bez przerwy... Umiemy zapadać w stalowych łodziach w głębiny morskie i pływać pod wodą, sprawniej od rekinów i wielorybów. Biegamy w tankach „gąsienicowych" i saniach motorowych po piaskach gorących i lodach arktycznych szybciej od strusia i białego niedźwiedzia... Cóż stąd?

Tajemniczy „wóz bez konia", który jeszcze dla naszych ojców byłby dziwowiskiem, stworem z Apokalipsy, krąży po ciasnych ulicach miast, ale nikt go nie wita entuzjastycznie. Przeciwnie! Skromny przechodzień, zahaczony znienacka błotnikiem, złorzeczy mu i wymyśla kierowcy: jak jedziesz bęcwale!

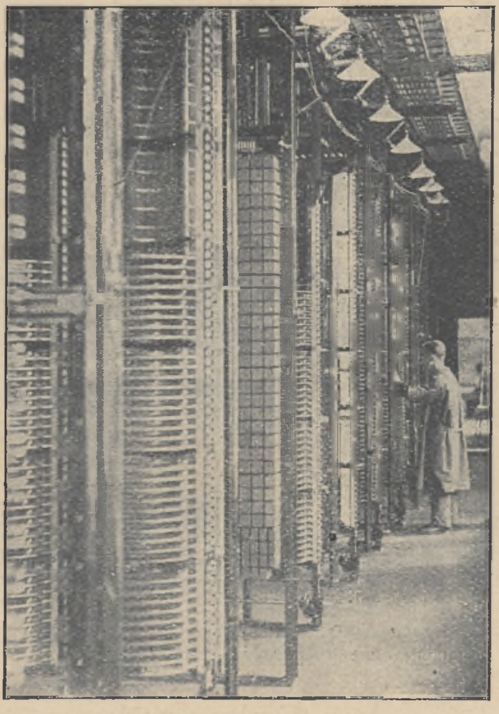
Spełniliśmy sny i marzenia naszych odległych pradziadów, zrealizowaliśmy bajki arabskie i zamieniliśmy w stal i aluminjum cudowne opowieści Andersena. Chodzimy w butach siedmiomilowych, otwieramy drzwi rozkazem — słowami, słyszymy, jak trawa rośnie, chwytamy muzykę z powietrza, odkryliśmy miljardy stworzeń żywych w kropli wody, potrafimy promieniami Roentgena rozwijać z zalążków okazy, o jakich się naturze nie śniło...

Dziwaczna historja! Stwierdzamy przytem ustawicznie głośny aforyzm Oskara Wilde'a: są dwie tragedje straszliwe na świecie — marzenia, które się *nie spełniły* i marzenia, które się *spełniły*...

Porszę się zastanowić przez chwilę nad takim choćby — najprostszym — przykładem. Jeden z najcudowniejszych wynalazków w czasach nowszych, telefon, miał tę kardynalną wadę, że więził po dniach i nocach w wysokich basztach kilkaset bladych panien, które zmuszał do nieciekawej, nużącej, niewdzięcznej, monotonnej pracy: „hallo, stacja, numer". Włączyć kontakt, wyłączyć kontakt. I znów to samo — godzinami.

I tu się właśnie zaczyna drugi akt dramatu. Telefonistki tracą zarobek... A to zaledwie jeden przykład z tysiąca, a raczej z miljarda. Każdy wynalazek techniczny, każdy nowy pomysł genjalny zmienia formy życia i formy produkcji i właśnie dlatego... wyrzuca kogoś z posady. Jakżeby mogło być inaczej? Wymyśliliśmy motor wybuchowy właśnie po to, żeby usunąć dychawiczną szkapę i zmarźniętego dryndziarza.

Ale ludzie dopiero poniewczasie spostrzegają,



Kulisy warszawskich automatów telefonicznych.

że medal ma dwie strony i nie chcą się z tym pospolitym faktem pogodzić. Pomstują, wyrzekają, złorzeczą. Dlatego, że im ktoś dał to, czego chcieli.

Alchemicy średniowieczni nie spali, nie jedli, siedzieli po całych dniach w ciemnej, sklepionej kuchni, prażyli w retortach na wolnym ogniu przeróżne substancje, pisali w księgach znaki magiczne. Marzyli o „kamieniu filozoficznym" albo o „eliksirze miłości".

Ów kamień miał za dotknięciem zamieniać wszystkie metale na złoto. Świetnie! Przypuśćmy, że się ich sen ziścił. Coby im z tego przyszło? Wszystkie konie mają złote podkowy, stróż otwiera złotym kluczem bramę, ubogi zamiatacz ulic rozbija lód złotym kilofem i wyrzuca z rynsztoka śnieg złotą łopatą, na Pociejowie sprzedają złote imbryki i złote dziurawe kubły do wody. Żelazo staje się nową nazwą, mówimy jeden *żelazny*, zamiast jeden *złoty*. I koniec.

Albo ów eliksir sławetny! Pożal się, Boże. Cała rodzina czeka, jak na zbawienie, na śmierć złej, skąpej, nudnej, przykrej, starej ciotki Zuzanny, która nigdy nikomu grosza nie dała, a dewastuje ogromny majątek. Nagle babina łyka jakieś żółte lekarstwo z fioletowego weneckiego flakonu... zrywa się z łóżka, wyprawia dzikie harce, skacze po stołkach i kiedy spadkobiercy wpadają do pokoju, znaleźć jej wcale nie mogą. Babsko schowało się za portjerę, woła „a kuku, koci - łapki". Wiek spadł jej raptem z 85 na 12 i pół.

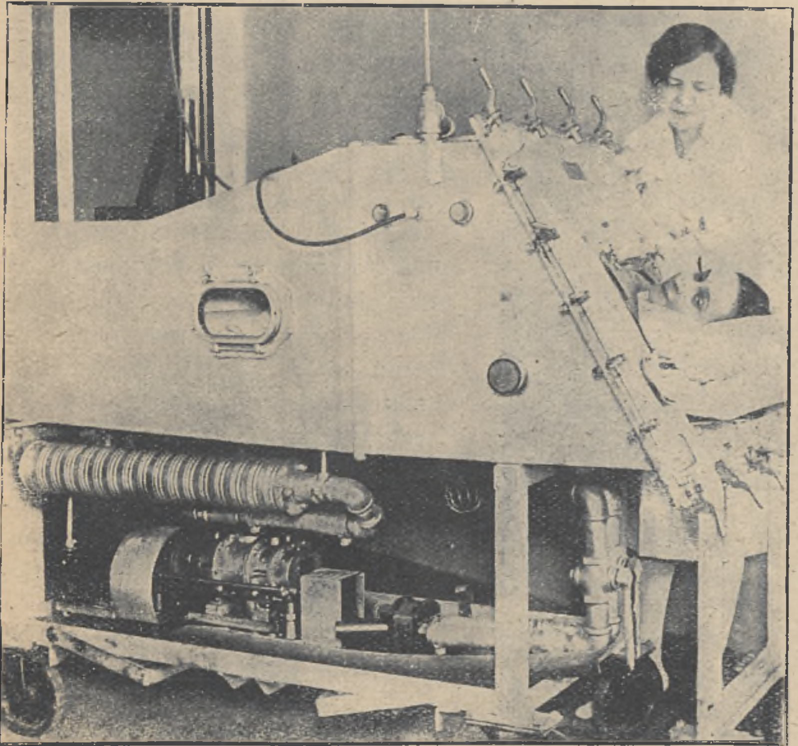
Gromada biednych urzędników żegna bankietem szefa, który „wychodzi do emerytury". Stary tetryk i zrzęda męczył ludzi przez pół wieku, gnębił podwładnych, gnębił interesantów, maltretował własną żonę. Nareszcie — opuszcza stanowisko. Na pół godziny przed bankietem pożegnalnym, stary ćwokjubilat, wpada do „baru alchemicznego", prosi o większy eliksir wzmocniony z kropelkami, i... zdumieni podwładni widzą, że ich emeryt wbiega w lansadach do sali restauracyjnej i rozpoczyna uroczyste przemówienie od słów „Koledzy! Zabawmy się w „drobną Kaśkę" i w „komórki do wynajęcia!" Będzie ich dręczył jeszcze przez pół wieku!

Odmładzany, systematycznie, poeta liryczny pisze wiersze o wiośnie przez lat 327, autor dramatyczny spłodził 28.576 sztuk o mężu, żonie i tym trzecim. Ładna perspektywa.

W okresie noworocznym nalewamy zazwyczaj wina do kielichów, uderzamy szkłem o szkło i wołamy gromko: „Spełnienia życzeń!"

Nie mam nic przeciwko temu. Wołajmy. Ale zastanówmy się nad tem, co mówimy, i nie miejmy później do nikogo żalu i pretensji.

Co powiedziawszy — spełnienia życzeń!



Aparat do zachowania życia. Jest to jeden z tych wynalazków, dzięki kóremu wzbudza się do życia martwiejące komórki organizmu.



Wiedeński inżynier Willi Lenk, wynalazł aparat, nazwany „Magnetton", który gra każdą melodję naskutek działania fal magnetycznych.



Małżonka posła Bułgarji w Warszawie, pani ministrowa Robew, wraz z córką, w salonach poselstwa bułgarskiego, przemienionego w barwne muzeum bułgarskiej sztuki ludowej. (fot. Brzozowski)

Pokaz samodziałów bułgarskich

Grono zaproszonych osób ze sfer rządowych, dyplomatycznych, artystyczno - dziennikarskich i towarzyskich miało możność obejrzenia niezmiernie interesującego pokazu samodziałów ludowych, wystawionych w salonach poselstwa bułgarskiego w Warszawie. Pokaz ten uwidocznił, jak szerokie zastosowanie mogą mieć motywy ludowe w przemyśle konfekcyjnym oraz zdobniczym. Oglądaliśmy więc niesłychanie gustownie i pomysłowo wyhaftowane stroje damskie, bieliznę stołową, poduszki, torebki, a także wyroby metalowe ludu bułgarskiego, klamry do pasków, bransoletki oraz długi szereg przeróżnych drobiazgów, świadczących o dużym smaku estetycznym.

Moglibyśmy i powinniśmy brać przykład z Bułgarów, bo wszak i nasze motywy ludowe są niewyczerpanym skarbcem dla sztuki stosowanej. Każdemu, kto przyglądał się pięknemu pokazowi samodziałów bułgarskich, przychodziło na myśl, że trudno o wymowniejszy przykład dla nas, bezwarunkowo godny naśladowania.



Typy wieśniaczek bułgarskich w strojach narodowych.

Małżonka posła bułgarskiego, pani Aleksandra Robew, miała na sobie toaletę czarną, pięknie ozdobioną w stylizację srebrnych haftów ludowych. Czyniła, wraz z małżonkiem, honory domu ze zwykłą i cenioną już oddawna w Warszawie gościnnością. Asystowały jej przytem: córka — p. Natasza Robew oraz pp. Karszo-Siedlewskie, przybrane w malownicze stroje wieśniaczek bułgarskich.

Wszyscy obecni serdecznie dziękowali pp. ministrostwu Robew za możność przyjrzenia się temu wielce zajmującemu pokazowi.

Liń.

ZYGMUNT KAWECKI.



Felieton finansowy

Trzeba, aby od czasu do czasu, w różnych dziedzinach życia społecznego, znaleźli głos... i fachowcy. Co mogą wiedzieć o pieniądzu ludzie, trzymający łeb w ekonomji politycznej, — a ręce w bankach, kasach, towarzystwach kredytowych — i wogóle w tragicznych zbiornikach gotówki.

Co tacy ludzie mogą o finansach wiedzieć?

Aby móc wypowiedzieć się o czem, musi się od danego zjawiska odejść — musi się nabrać perspektywy — i proporcji — potrzebnej do osądu.

Dlatego właśnie — o miłości naprzykład, mówią najlepiej ludzie, którzy już „wyprzęgli" — dlatego o malarstwie może prawić słusznie i sprawiedliwie człowiek, który przynajmniej przez kilka lat nie widział żadnej wystawy — no, a o pieniądzu może wypowiedzieć się najgłębiej ta osoba, która od chwili funkcjonowania swej świadomości — nie pozostawała nigdy w trwałych z „forsą" stosunkach. A któż jest ta osoba?

Czy może ty, człowieku regularny, uporządkowany, ubezpieczony, u-PKO-wany, solidnie zartretyzmowany — cnotliwie usklerozowany?

Tu *do nas* proszę zawitać — tu, do metropolji — do megalourbji— aby móc naocznie i własnoręcznie przekonać się — że tu za każde odetchnięcie musisz płacić gotówką — że tu, źle stąpnąwszy, źle charknąwszy, źle w tramwaj wskoczywszy, musisz natychmiast jęknąć monetą.

Bezustanne wypływanie gotówki z ciebie, postawi cię odrazu w sednie zagadnienia.

I zgodzisz się odrazu ze mną w tem, że do mówienia o finansach, do trzęsienia finansami — nie jest powołany człowiek choćby ministerjalny, jeżdżący automobilami, nigdzie, nigdy i nic własnoręcznie nie płacący — tylko człowiek zupełnie i *zgoła* inny — a więc istota wprawdzie goła — ale mogąca być i ministrem — i politykiem — i dyrektorem banku — i twórcą pożyczek zagranicznych, a więc... *literat* — czyli minister wszechintellektu — polityk wieczności — dyrektor Banku Ideałów — i Twórca pożyczek wewnętrznych, drobnych co prawda, ale częstych.

Oczywiście, należy wątpić, czy taka istota, jak literat, mogłaby długo wytrzymać w robocie tak żmudnej, i trudnej, i brudnej, jak finansowa — ale na to jest zawsze sposób: oto, literat powinien być doradcą finansowym, ustanowionym przy głowie często cyfrowej, twardej, formalnej, matematycznej, rachunkowej i maszynowej.

Wynalazek ten byłby zupełnie sensowny, zważywszy, że tylko z łączenia kontrastów — i ekstremów — powstaje amplituda życia. A więc, jak w matematyce wyższej, w rachunkach nieskończonych małości — nauka ścisła przechodzi niemal w poezję i fantazję — a więc, jak w architekturze, przy budowie mostów, przerzucanych ponad przepaście i potworne rzeki — nauka budownictwa przechodzi niemal w estetykę i grację i pląs — a więc, jak w nowoczesnej muzyce, naodwrót, sztuka przechodzi w matematykę — tak że produkcji muzycznych nie słucha się *uszyma*, tylko się je ogląda *oczyma*, niemal jak *logarytmy na tablicy* — tak samo — i w zjawiskach społeczno-ministerjalnych dobrze byłoby sprzęgać ludzi cyfr z ludźmi ducha, ludzi budżetu z ludźmi liberum *„to nie to"* — ludzi teorji, z ludźmi życiowej glorji.

I wieluż to straszliwych rzeczy i zjawisk uniknęłoby się.

Mianowicie:

a) taki literacki Devey nie pozwoliłby na zapanowanie w urzędach finansowych, atmosfery, która z urzędników czyni jakieś potworne antropoidalne paragrafy. Przypatrzcie się tylko dobrze, jak smutno, jak wyschnięto, jak przykro wyglądają wydobywacze podatków z Narodu.

b) taki literacki influator nie ścierpiałby, aby Izby Skarbowe wyglądały jak gniazda skorpionów. Czy naprawdę nie jest to zastanawiające, że już na samym gmachu wszelkiego Działania Skarbowego, na jego ścianach, schodach i meblach, leży jakieś piętno kazamaty, rozpaczy, tuberkulatury — i wstrętu do wszelkiej hygjeny?

c) taki literacki inspirator miałby djalogi z osobą ministerjalną, dążące do wprowadzenia umiaru w czynność urzędową. Dla przykładu djalog:

Minister. Z dramaturgów, pobierających tantjemy, trzeba też ściągać podatki.

Literat. O, pardon, Ministrze, z nimi trzeba aksamitnie.

Minister. Dlaczegóż to? Oni właśnie powinni dać przykład.

Literat. Już tyle było przykładów umierania literatów z głodu, że należałoby, na razie, chociażby, dać im się odjeść i odchuchać — tem więcej — że z dochodu z jednej sztuki musi taki uciążliwy krajowiec żyć czasem rok, lub dwa.

Minister. W tem jest wiele przesady. Ja sam, znam osobiście, kilku tłutych komedjopisarzy — i jednego chudego, co prawda, ale noszącego białe gietry.

Literat. Ale — i ja go też znam. Ale on to robi naumyślnie, aby się naród pytał, gdy jego sztuka idzie na afisz — „czy to ten autor, co nosi białe gietry?" Czysta reklama!

Minister. Być może. Ale białe gietry, to artykuł luksusowy.

Literat. Być może. Czy pan Minister wie, że temu właśnie komedjopisarzowi, komornik zajął całą tantjemę — tak, że on nie mógł podjąć ani grosza z tego, co stanowi jedyny jego dochód? A czy urzędnikowi, naprzykład, wolno zająć całą pensję, tak, aby odrazu umierał — czy też zostanie mu się część na powolne znikanie z tego świata finansowego?

Minister. Panie drogi, — niech pan to wszystko napisze w komedji.

Literat. Nie, panie Ministze, — w komedji musimy ludzi uweselić i skrzepić. Dlatego musimy pisać dla ludzi tak, jakgdybyśmy byli bogaczami.

*

Trzeba czemprędzej delegować literata, poetę, albo redaktora na ulicę Rymarską — licząc się z tem, że już w samej nazwie ulicy Rymarskiej, jest syllaba „rym" — a więc coś z poezji.

WŁADYSŁAW WOŁK.

Święta noc

(OPOWIEŚĆ KRESOWA.)

Wania Iwanowicz Aleksiejew i Michał Michajłowicz przedzierali się przez granicę polską, z wyraźnym zamiarem podpalenia domostwa osadnika, Józefa Jaworskiego. Śnieg mokry prószył, oblepiał ich ubrania oraz twarze i czynił raczej podobnymi do poruszających się śnieżnych bałwanów, aniżeli do żywych ludzi.

— A to psia pogoda—na koniec nosa niczego nie widać — klął Michajłowicz, brodząc po kolana w śniegu.

— Cicho—uspokajał go Wania—bo jeszcze, do wszystkich czortów, gotowi nas usłyszeć. Uważaj lepiej, byśmy z powrotem drogi nie zmylili.

— Nie zmylim, będziemy mieli przynajmniej za sobą jasno.

Zaśmieli się krótko, cynicznie i w milczeniu posuwali się naprzód. Szli wolno, ostrożnie, jak wyżły strzyżąc uszy i wbijając wzrok w ciemną dal. Czasami znów na najmniejszy podejrzany szmer padali na ziemię, przywarowywali bez ruchu i dopiero po dobrej chwili badali oczyma okolicę.

— Byleby dojść tylko do opłotków — Michajłowicz. Tam będzie nam już znacznie bezpieczniej.

Aczkolwiek przestrzeń dzieląca ich od wsi nie była zbyt wielka, to przecież wydała się im ona nieskończenie długa. Dowlekli się przecież jakoś niepostrzeżenie i uspokoili dopiero na wiejskiej ulicy. Była ona niemal zupełnie pusta, od czasu tylko do czasu skrzypnęły odrzwia chat, przez gościniec przebiegła postać i nikła pośpiesznie w sąsiednich zabudowaniach.

Wańka zatrzymał się przed jakąś jasno oświetloną chatą.

— Słuchajno, Michajłowicz! Zdaję mi się, żeśmy zaszli za daleko. — Jaki był prykaz?

— Trzecia chata na prawo.

— To chyba tu!

— Chyba.

Odwrócili się i poczęli skrupulatnie liczyć — jeden — dwa — tak, to trzeci z rzędu — zgadza się.

— A zatem chodźmy!

Nie wchodzili jednak, dopóki szczegółowo nie zlustrowali oczyma podwórza, ale i tak jeszcze poczęli się naradzać.

— Słuchajno, pan Michajłowicz! Ty jestes mocny w garści i umiesz się zawsze wyłgać. Idź naprzód sam i popatrz przez okno, ile jest osób w chałupie. Ma być cztery — rozumiesz cztery — ojciec, matka i dwie córki. A spotkasz kogo na podwórzu, to zdziel pięścią między oczy i w nogi — rozumiesz?

Michajłowicz milcząco skinął głową, wszedł na podwórze i przez okno patrzał w głąb.

Upłynęła spora chwila. Wańka począł się niecierpliwić.

— Tst... Michajłowicz — syknął Wańka — co tam tak szczerzysz gały. Wszyscy są w domu?

Cisza.

— Pan Michajłowicz — słyszysz?

— Cisza.

— Michajłowicz, czyś ty się wściekł? Czemu nie gadasz kogo widzisz.

Ale Michajłowicz ani drgnął. Przywarł tylko twarzą do szyby i patrzał — patrzał — patrzał.

Nic nie słyszał, nic nie widział, w tej jednej chwili zatracił świadomość miejsca, przestrzeni i czasu, kędy z najskrytszych zakamarków duszy pełgły wspomnienia dawno minionych chwil, przed oczyma stanęły ongiś bliskie mu osoby, które dla nowych proroków porzucił, a znieruchomiałe źrenice wpijały się zazdrośnie w rodzinę dzielącą się opłatkiem.

Cofnął się dopiero, gdy Wańka za ramię pociął go ciągnąć z całej siły.

— Czyś ty, Michajłowicz, odszedł od rozumu?

— Daj mi spokój — zostaw mnie jeszcze chwilę.

— Nie zostawię!

— Zostaw, mówię ci!

— Nie zostawię — jeszcze twarzą szybę wydusisz. O to byby kłopot. Gadaj coś widział — wszyscy są w domu?

Michajłowicz oprzytomniał, przesunął dłonią przez oczy i splunął ze złością.

— Tfu — czary, czy co?

Czuł jednak, że w mózgu kryje się jakaś tląca iskierka, której nie potrafi zdusić.

— No — gadaj, wszyscy są w domu?

— Wszyscy.

— I co robią?

— Święty wieczór!

— Zgłupiałeś do reszty, Michajłowicz? To co, że święty wieczór, przecież my dostali taki prykaz, aby tego burżuja w Święty wieczór podpalić. Teraz czas — chodźmy do roboty — benzynę masz?

— Mam!

— Dawaj!

Musieli się jednak cofnąć. Zwietrzyły ich bowiem psy i rzuciły się na nich z wściekłą zajadłością.

— Widzisz, Michajłowicz, coś ty narobił — gniewnie prawił Wańka, kryjąc się równocześnie za jakimś brogiem w ogrodzie. — Gdyby nie twoje dureństwo, bylibyśmy już skończyli — a tak co — musimy czekać, aż się psy uspokoją. Et, durak z ciebie!

Wania zcichł i zrezygnowany usiadł na śniegu, Michajłowicz zaś posmutniał i w milczeniu mykał z brogu siano.

— Co ty robisz — zapytał Wania Michajłowicza po chwili.

— Mykam siano. Musimy sobie zrobić otwór w brogu, aby się trochę bodaj zagrzać. Jak tak dalej pójdzie to i godziny nie wytrzymamy.

— A widzisz — mądry Polak po szkodzie — mruczał Wańka. Wstał jednak i począł towarzyszowi pomagać.

Po chwili znaleźli się w stogu.



Było im tu znacznie zaciszniej, ale ziąb idący z pola dokuczliwie.

Michajłowicz położył się na wznak, ręce podsunął pod głowę i myślał, natomiast Wania co chwilę wysuwał głowę ze stogu i klął przeraźliwie.

— A to psia pogoda. Nawet chudoby na pole w taki czas wypędzaćby się nie godziło, brrr... zimn! Słuchajno, Michajłowicz, a wódka u ciebie jeszcze jest?

— Jest.

— To daj.

Michajłowicz wyjął flaszkę.

Wańka przełknął kilka tęgich haustów, splunął i flaszkę oddał.

— Masz, pij i ty! To rozgrzewa.

— Nie — nie mam dziś ochoty — pij, jeśli chcesz.

Wańka niedowierzająco pokręcił głową.

— Ej, Michajłowicz, ty dzisiaj jakiś niesamowity. Naprzód przez okno patrzysz, aż mało ci oczy nie wyskoczą, a teraz nawet wódki pić nie chcesz. Gadaj zaraz, co ci jest?

— Eeee — nic — tylko mi tak jakoś koło serca markotno.

Zamilkli i chwilę leżeli bez słowa.

— Wańka!

— A co?

— Masz ty matkę?

— Chyba, — musi gdzieś być, ale jej nie pamiętam.

— A ojca masz?

— Et — co ojciec?!

— A braci, siostry?

— Mnie się zdaje, Michał Michajłowicz, że dzisiaj ciebie giez ukąsił. Cóż ty nie wiesz, że dziś nie ma ani ojca, matki, brata, ani siostry, jest tylko — komunizm.

— Wiem, tylko widzisz Wańka, ja miał matkę, ojca, braci, dom i wieczór święty, taki jak dziś niema ani ojca, matki, brata, ani siostry, pod obrusem siano, a po rogach izby snopy zboża. A w izbie ciepło, miło, przytulnie, kolędujemy — hej, co my to kolędowali — aha — W żłobie leży — Wśród nocnej ciszy — W Dzień Bożego Narodzenia — a potem, wiesz, przychodzą przebrani za Heroda, djabła — śmierć — et, i to wszystko poszło do czorta.

Zmilkł znów na chwilę i zanurzył się w wspomnieniach.

— Wańka!

— A co?

— A jadł ty kiedy barszcz?

— Chyba, żem jadł.

— Ale wiesz — taki wigilijny — z uszkami.

— Nie — u nas w ochronce Wigilji nie było, a później to ja także nie jadł.

— A ryby, pierogi, gołąbki, kutię jadł ty?

— Nie — kuti to ja nigdy nie jadł.

— Nie jadłeś, to szkoda, Michajłowicz, — aż mlasnął językiem o podniebienie, — bo to dobre, bardzo dobre.

— Wania!

Wani było jednak tego za dużo i aż siadł na sianie.

— Słuchajno, pan Michajłowicz! tyś dzisiaj naprawdę zwarjował i głupstwa wygadujesz — już się trochę uspokoiło i czas się brać do roboty — czas!

— Czekaj, chciałem ci tylko powiedzieć, że możebyśmy dziś z tą robotą dali spokój.

— Dlaczego?

— Widzisz. Dziś święty wieczór. Możeby tak zamiast palić, pójść w gościnę do Jaworskiego.

— Ja jego nie znam. My razem służyli jeszcze w carskiej armji. Napewno nas nakarmi i napoi. A nie on, to inny, bo dziś przecież nie godzi się gościa odpędzać.

— Tyś oszalał. A prykaz gdzie? Daj zaraz benzynę!

— Nie dam!

— Nie dasz?

— Nie.

— Czekaj sam ja sobie wezmę!

— Spróbuj!

Stali naprzeciw siebie jak wściekłe psy, gotowe rzucić się każdej chwili, wodząc po sobie zakrwawionemi białkami.

Widocznie Wania wyniku walki nie był pewny, gdyż się nagle uspokoił i rzekł prawie obojętnie.

— Jeśli nie dasz, to nie, zatrzymaj ją. Mam przy sobie smolne łuczywo, obejdę się bez ciebie.

Oddalił się parę kroków od Michajłowicza i zapalił smolną szczypę.

Źrenice Michajłowicza zapłonęły, jak u wilka, ale się jeszcze hamował.

— Wania! Mówię ci po dobremu, zgaś łuczywo.

— Nie.

— Zgaś łuczywo!

— Nie.

— Nie zgasisz?

— Aha — zgasić mi każesz — podpalić nie pozwolisz — komunizm zdradzasz — wylazła z worka twoja przyklęta polska natura — na Święty wieczór ci się zachciewa — ty kontrrewolucjoner — ty ścierwo — gdyby to było u nas — zarazbym cię oddał czerezwyczajce — już by się ona z tobą pobawiła, — ty psie burżuazyjny.

Krew uderzyła Michajłowiczowi do głowy. Na krok zbliżył się do Wani.

— Poraz ostatni ci mówię, zgaś łuczywo!

— Nie!

Ciężka pięść chłopa zwisła sekundę w powietrzu i z całej siły grzmotnęła Wanię w pysk.

Oblany posoką Wania zwalił się na śnieg.

Michajłowicz pochylił się nad nieprzytomnym, przeszukał mu kieszenie, zabrał nagan, zapałki i łuczywo, odwrócił się i szybko iść począł w stronę domu Jaworskiego.

Z poza jasno oświetlonych okien chaty płynęła ku niemu melodja kolendy.

Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj...

DR. KAZIMIERZ RAKOWSKI.

Przepisy dobrego tonu z przed stuleci

II.

Bądź lojalnym wobec wroga: w boju nie używaj ani strzał z zakrzywionemi końcami, ani zatrutych, ani pocisków ogień wzniecających. (VII-90.). Powiedzielibyśmy dzisiaj: ani kul dum-dum, ani gazów trujących.

Bądź grzeczny: „Ustąp z drogi człowiekowi ciągnącemu wóz, zgrzybiałemu starcowi, człowiekowi choremu, człowiekowi niosącemu ciężar, kobiecie, Braminowi, który ukończył swe studja, rycerzowi i idącemu do boju, oblubieńcowi podążającemu na obrzęd ślubny (II-138). Nie trzymaj się pańskiej klamki: „chleb z ręki króla bowiem unicestwia cechy męskości" (wypacza charaktery).

Stary filozof Manu jest głębokim psychologiem. Zna on dobrze próżność i słabostki ludzkie. Widywać musiał t. zw. błyszczące nędze.

Jeśli próżność twoja prowadzi cię do rozdawania prezentów ludziom obcym, podczas gdy własna twa rodzina cierpi biedę, choć masz możność przyjścia jej z pomocą, — to rozkoszujesz się smakiem miodu, w istocie rzeczy zaś połykasz truciznę: uprawiasz bowiem fałszywą cnotę. (XI-9.).

Przypuszczać należy, że z pewnem zdumieniem niejeden odczyta powyższe, z trudem przez filologów odcyfrowane z sanskrytu przepisy *savoir vivru* z przed wieków.



CO I JAK WOLNO PORUSZAĆ W ROZMOWIE TOWARZYSKIEJ.

Człowiek rozsądny nie wyrywa się z mową, gdy go nie pytają, ani nie odpowiada na głupie pytania. Gdy zaś nie jest pytany, to choćby kwestję, o którą chodzi, znał dobrze, nie powinien chwalić się ze swą znajomością rzeczy. (II-110).

Mówiąc zawsze prawdę, trzyma się on tematów, których się słucha z przyjemnością, nie narzucając się przykremi prawami, ale powstrzymując się od wygłaszania utartych oficjalnych kłamstw. Tak mu przepisuje odwieczny zwyczaj. (IV-138).

Winien również pamiętać, że nie wolno nikomu wymawiać, że jest ślepy, kulawy, lub, że posiada inną podobną ułomność, choć by wymówka ta polegała na prawdzie. (VIII-274).

BACZNOŚĆ PRZED KOBIETAMI!

„Miejcie się na baczności przed kobietami" — tak zdaje się przemawiać stary Manu do mężczyzn. — *Pragnąłbym wziąć w obronę przedewszystkiem młodzież przed temi niesumiennemi kokietkami, które na niej bezkarnie probują działania swych wdzięków.*

Dobra jest grzeczność w stosunkach między ludźmi, zwłaszcza na towarzyskich zebraniach — przyznaje Manu, — *ale „młody człowiek, który już ma poznanie złego i dobrego, doszedłszy lat dwudziestu, niechaj nie chyli czoła do kolan małżonki swego godnego mistrza. Tkwi to już bowiem w naturze niewieściej, aby na tym ziemskim padole dążyć do usidłania mężczyzn; dlatego też mędrcy nigdy nie idą na lep tej pokusy. (II-243).*

Toteż mędrzec Manu, na innem miejscu, mówiąc o tem, czyje świadectwo przed sądem nie jest nic warte, stwierdza (ks. VIII-67), że *„nie należy wzywać na świadka, ani człowieka pijanego, ani warjata, ani człowieka przejętego gwałtownem uczuciem miłości".*

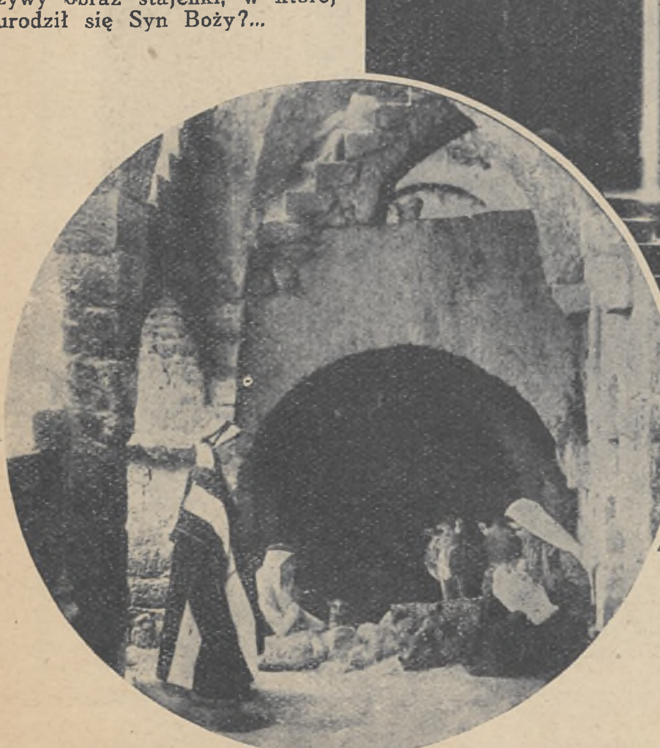
Ach te kobiety, od iluż tysięcy lat one filozofów skłaniają do uznawania ludzi za warjatów!

Boże Narodzenie w Palestynie

Święta Bożego Narodzenia w Palestynie tchną przedziwnym, czarem poezji. Bo wszystko, z czem się stykamy w tym kraju jest jakby przesiąknięte odwieczną tradycją. wszystko po tylu tysiącach lat przypomina dzieje żywota Chrystusa. Oto weźmy naprzykład jedno z ubogich domostw w Betleemie, w którem ludzie i trzoda mieszkają pospołu. Czyż nie jest to żywy obraz stajenki, w której urodził się Syn Boży?...



Wnętrze świątyni w Betleemie.



Domostwo-stajenka w Palestynie.



Grecki mąż stanu, Venizelos-gościem naszego kraju

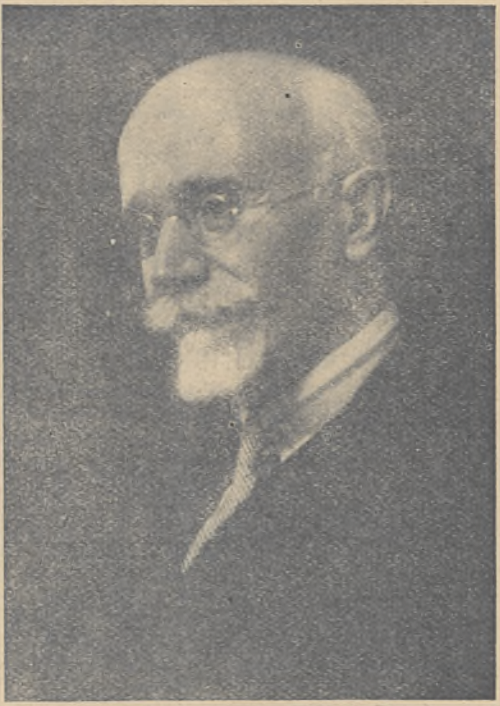
Przybyłego do naszej stolicy greckiego premjera, Venizelosa, nazywają powszechnie rodacy — najlepszym synem Ojczyzny, cały świat zaś uznaje w nim jednego z największych mężów stanu.

I słusznie. Ktokolwiek bowiem zapozna się z karjerą życiową tego człowieka, musi uchylić czoła przed ogromem zasług, które poniósł zarówno dla Grecji, jak też dla układu stosunków międzynarodowych, a zwłaszcza dla wyzwolenia państw bałkańskich z pod obcych wpływów.

Linja polityczna, którą wytknął sobie Venizelos dla osiągnięcia zamierzeń, była stała. Z zawodu będąc obrońcą uciśnionych, zawsze postępował zgodnie z nakazem sumienia, stroniąc od wszelkich matactw i intryg. Przeciwstawiał się więc polityce monarchów greckich, ciążących, wbrew interesom kraju, ku państwom centralnym, co, zwłaszcza podczas wojny światowej, spowodowało ostre konflikty i doprowadziło wreszcie do rewolucji. Nie mniej jednak, mimo ogromną popularność, jaką cieszył się Venizelos, Grecja pogrążona była w takim chaosie, iż dopiero po kilku latach zmagań, podczas których nie przestawał czynnie występować na forum międzynarodowem, w obronie najżywotniejszych interesów swej Ojczyzny, dzielny ten mąż stanu objął ster rządów na stałe. Wolał czekać, aż wyszumią namiętności i walkom partyjnym o władzę miejsca ustąpi harmonijne zespolenie się wszystkich wysiłków, gdyż nie łudził się tem, iż nietylko chwilowo, lecz nawet w przeciągu kilku lat, sprawować można funkcje dyktatora, że można być aklamowanym przez ludność, jako zbawca ojczyzny, — lecz że to jeszcze nie wszystko, skoro i oponenci mogą mieć posłuch.

Krótki przegląd dziejów współczesnej Grecji świadczy dowodnie o wielkim umyśle politycznym Venizelosa. Pierwsze swe kroki stawia w obronie uciśnionej Krety. Po wojnie z Turcią, a później z Bułgarją, wymusza od króla powierzenie odbudowy armji Francuzom, floty zaś Anglikom. Zdobywa pożyczkę zagraniczną i za te pieniądze buduje linję kolejową o kapitalnem znaczeniu strategicznem (Larissa—Saloniki). Powoduje wystąpienie Grecji w obronie Serbji. Otwiera Saloniki dla dessantu wojsk koalicyjnych, celem dywersyjnego zaatakowania przez nie Turcji i Bułgarji. W następstwie złożenia władzy przez króla Konstantego, obejmuje na 3 lata dyktaturę. Składa władzę i wyjeżdża na dłuższy czas z kraju, dokąd przybywa po abdykacji Jerzego II-go, lecz wkrótce znów opuszcza Grecję. Powraca definitywnie w r. 1927 i obejmuje władzę w najcięższej bodaj chwili, gdyż kryzys ekonomiczny daje się odczuwać na całym świecie. Lecz tym razem już widzi, iż zdoła opanować w kraju sytuację, bo wszyscy w nim widzą jedynego zbawcę.

Czego Venizelos nie dokonał w ciągu ostatnich tych lat! Bo oto Grecja znakomicie podźwignęła się i nietylko sama kroczy naprzód wielkiemi krokami, lecz dzięki talentowi tego opatrznościowego męża stanu, którego niejeden naród może pozazdrościć, ujęła nawet inicjatywę w swoje ręce, w kierunku stworzenia jednolitej polityki bałkańskiej. A dzieło to, jak utrzymują wtajemniczeni, jest tylko jednym z etapów, mających doprowadzić Venizelosa do jeszcze większych wyników — zakrojonych na skalę światową. *(r.)*



Premjer grecki, Venizelos.



Jedno z ostatnich zdjęć premjera Venizelosa, podczas jego pobytu w Hadze, na konferencji rozbrojeniowej.

DR. ROMAN CIECHANOW.

Prasa w Ameryce Południowej

Osiemdziesiąt miljonów mieszkańców Ameryki Łacińskiej, ma o wiele potężniejszą prasę od Europy. W Ameryce, ukazuje się przeszło 4.000 pism perjodycznych w języku hiszpańskim i portugalskim; a żadne pismo nie może dać nam nawet przybliżonego pojęcia o rozmiarach niektórych dzienników południowo - amerykańskich. Dwa tylko pisma codzienne w Buenos Aires, drukują razem prawie miljon egzemplarzy dziennie. Wzorując się na wielkich dziennikach z New Yorku i Chicago, prasa hiszpańska w Ameryce daleko prześcignęła swą dawną „matkę - ojczyznę".

Mało jest krajów na świecie, gdzieby prasa wywarła tak wielki wpływ na tworzenie się inteligencji narodowej, jak w Ameryce Łacińskiej. Cudzoziemcy, którzy tak często krytykują „wielką ojczyznę ciągłych rewolucyj", którzy w lekceważący sposób wyrażają się o tylu instytucjach Ameryki Łacińskiej, muszą jednak przyznać, że tamtejsze dziennikarstwo służyć może za wzór dla reszty świata cywilizowanego.

Prasa południowo - amerykańska przerosła poprostu kontynent, gdyż wielkie dzienniki z Buenos Aires, Havany i Meksyku z dniem każdym zjednywują sobie coraz więcej czytelników po za swoją ojczyzną. „La Prensa", wychodząca w New Yorku mimo, że jest tylko filją dziennika z Puerto-Rico, ma nakład dochodzący do 200.000 egzemplarzy.

O znaczeniu i rozmiarach wielkich dzienników amerykańskich świadczą nietylko ich luksusowe lokale przedstawicielstw w Paryżu, Londynie, lub New Yorku, ale świadczy o tem każdy numer pisma.

„La Prensa" z Buenos Aires drukuje od 305.381 do 346.683 egzemplarzy dziennie. Egzemplarz tego pisma liczy w dzień powszedni od 28 do 48 stronnic druku, w święta zaś zawiera od 60 do 72 stronnic. Stronnice tego pisma o wymiarze 61 $\times$ 43 cent. są podzielone na 7 szpalt. Waga jednego nakładu wynosi 2.360.000 kilogramów, przedstawiając wartość 463.000 pesos (około 230.000 dolarów). „La Prensa", została założona w roku 1869 a w chwili obecnej pismo to zatrudnia kilka tysięcy pracowników, posiada wiele własnych gmachów, a majątek jego wart jest kilka miljonów dolarów. Mimo to znawcy twierdzą, że „La Prensa" nie jest największym pismem w Buenos Aires, bowiem „La Nacion" jest bardzie poczytne. „La Nacion" została założona w roku 1870 przez Bartolomé Mitre, pierwszego konstytucyjnego prezydenta Argentyny. Dziennik ten zatrudnia około 4.500 osób.

Artykuły, byłego prezydenta Francji, p. Raymond Poincarè'go, ukazują się w „La Nacion" w Buenos Aires o wiele wcześniej niż w prasie francuskiej, która się zwykle ogranicza, do przepisywania artykułów swego wielkiego polityka, z pisma argentyńskiego. Dzięki olbrzymim wynagrodzeniom, jakie „La Nacion" płaci swym korespondentom, pismo to zjednało sobie współpracę, najwybitniejszych osobistości Europy i Ameryki. Emil Zola, Camille Flammarion, Lombroso, Ruben Dario, Unamuno, Generał Primo de Rivera, Kanclerz Luther, Blasco Ibanez oraz wielu innych, byli korespondentami „La Nacion".

Pisma codzienne, tej miary co „El Dia" z Montevideo, „La Nacion" z Santiago de Chile, lub „Diario de la Marina" z Hawany pod każdym względem przewyższają dzienniki europejskie, gdzie prawie niemożliwością byłoby wydanie gazety w takiej objętości i w takich rozmiarach, jak w Ameryce. W Ameryce Łacińskiej, codzienne pisma posiadają najnowsze maszyny rotacyjne, bijące po 50.000 egzemplarzy na godzinę.

Dnia 10 lutego 1926 r., z okazji przylotu lotnika hiszpańskiego Franco, z Europy do Argentyny, pismo „La Nacion" uruchomiła dla szybkiego rozwiezienia swych egzemplarzy specjalny pociąg, który, robiąc 303 kilometry w ciągu 3-ch godzin, w nadspodziewanie krótkim czasie rozwiózł specjalny numer, poświęcony opisowi przelotu przez Atlantyk, do najdalszych zakątków kraju.

Zdjęcia z zawodów footbolowych z Montevideo, ukazały się w „El Dia" w godzinę po skończonych zawodach o mistrzostwo świata. Te same zdjęcia, nadane przez radio ukazały się prawie jednocześnie w wielu innych pismach Ameryki Południowej.

Potężna prasa południowo - amerykańska, posiadając własne aeroplany, wagony, i setki samochodów, niejednokrotnie pobiła rekord szybkości podawania informacyj.

Europejscy dziennikarze, niejednokrotnie próbowali naśladować Amerykę. Obecnie redaktor paryskiego „Intransigeant" Mr. Bailby, udał się obecnie do Ameryki, aby zapoznać się z techniką tamtejszej prasy. Jednakże te najbardziej wzniosłe dążenia redaktorów europejskich spełzną zapewne na niczem. Pismo o rozmiarach amerykańskich, jest sprzeczne z gustem i zwyczajami Europy.

Nie należy jednak zapominać, że pismo jest wyrazem dążeń i upodobań społeczeństwa, którego życiem pismo to żyje i rozwija się. Dlatego też wydawanie pisma w Europie, na skalę „La Prensy", lub „Excelsiora" z Meksyku, byłoby niewspółmierne z zainteresowaniem się jego czytelników. Musi zatem najprzód życie samego społeczeństwa pójść szybciej, a wówczas i prasa za niem pośpieszy.

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

Filozof i kobieta

Tańczyli. Poznali się miesiąc temu w jednej z wielkich „Brasseries" w Quartier Latin, w małem kółku Polaków, które wieczorami, w rozgwarze restauracyjnym, przy zastawionym stole i karafce wina zapominało o szarocie i troskach codziennego życia i wchłaniało tam w siebie coś niecoś z wesołej atmosfery Paryża. Zrazu polityka zakłócała harmonję, lecz zakazano sobie pod grzywną butelki wina wszczynania szermierek, rozogniających umysły. Natomiast anegdoty i facecje żywy miały oddźwięk, zwłaszcza, że panie nałożyły swej pruderji silne pęta.

Najserdeczniej śmiał się wtedy młody doktór filozofji, Wiktor Łabędzki, który po całodziennych studjach wyrzucał swą powagę za drzwi i bawił się jak młokos na wakacjach. Z tego powodu lubili go wszyscy, a nawet wiele od ludzi wymagająca i drażliwa pani Wanda Wandlowa, żona urzędnika ambasady polskiej. A kuzynka jej, pani Lucyna, witała go poufale, przyjaźnie. Obojętna na wyraźne umizgi kolegi-malarza, Czerskiego, ładna brunetka, ukraińskiego typu, poświęcała wesołemu filozofowi najwięcej uwagi.

Łabędzki wiedział o niej tylko to, że była trochę czy całkiem rozwiedzioną, a zresztą utalentowaną malarką. Podziwiał jej pastelowe i olejne portrety i, gdy przyglądała się mu wyrazistemi swemi orzechowemi oczyma, miał wrażenie, że, wróciwszy do siebie, namaluje twarz jego najnajdokładniej. Lecz spojrzenia jej siały w nim jakiś subtelny lęk i zamykał się przed nią szczelnie.

Tego wieczora, wybrali się w sześć osób do eleganckiej restauracyjki, w pobliżu Placu Pigalle i po obiedzie pląsali ochoczo, w czem „profesor" nie dał się wcale ubiec. Nie darował upozowanej na ambasadorową pani Wandzie, chociaż miała wątpliwości, czy wypada jej tańczyć wśród dam z półświatka. Uspakajał ją Czerski, mówiąc:

— Któż to rozróżni półświatek od światka. Są tylko dwie kategorje kobiet: takie, które się bawią, i takie, które im zazdroszczą.

Tymczasem „filozof" tangował ładnie z młodą malarką, sympatyczną p. Kazią, stroniąc od p. Lucyny. Nie można było wszakże zapomnieć o niej, gdy szkarłatnie wyfrakowany jazzband zaintonował modne shimmy, a znana melodja podrywała z krzesła zapalonego tancerza.

— Ładna melodja — bąknął p. Wiktor, bo przecież trzeba było odezwać się słowem, gdy powoli chwiali się walcowo, jakby w sennej gondoli. Miast odpowiedzieć na to, pani Lucyna spytała:

— Dlaczego pan ze mną nie rozmawia?

— Nie rozmawiam?

— Nie. Rozmawia pan ze wszystkimi, nigdy ze mną. Czemu?

— Nie wiem; doprawdy...

— Niech pan mówi prawdę!

— Może dlatego, że... pani się lękam — wyszeptał, wykonując zgrabnie powłóczyste pas lewą nogą. A ona, wtórząc mu z gracją, zaśmiała się z cicha:

— To ciekawe! Musi mi pan to wyjaśnić. Nie byłam jeszcze dla nikogo smokiem.

Nie podniósł na nią oczu ani razu, gdy znów przy stoliku zawrzała rozmowa, i nie tańczył więcej. Zresztą, chociaż godzina nie była późna, wkrótce pani Wanda z mężem i kuzynką wsiadła do samochodu. Czerski ofiarował się odstawić do domu pannę Kazię, a dr. Łabędzki chciał sam wrócić do siebie, lecz pani Lucyna ozwała się:

— Niech pan jedzie z nami. Odwieziemy Wandzię, potem pan mnie odwiezie do pensjonatu, a wreszcie samego siebie.

Pan Wiktor wsiadł do samochodu. Gdy po kwadransie jazdy, pozostał sam z panią Lucyną, przyszła ona do przekonania, że zamiast wyrzucać pieniądze na samochód, lepiej pójść pieszo przez ładnie oświetlony bulwar St. Germain. Było sucho, łagodna noc jesienna dawała złudzenie wiosny.

— Bardzo jestem ciekawa, dlaczego to pan lęka się mnie tak strasznie... — rzekła młoda kobieta.

— Dopiero niedawno biła jedenasta. Może wstąpimy do tej kawiarni, aby porozmawiać spokojnie? — zaproponował, rad nie rad, wskazując laską narożną, pełną rozblasków kawiarnię.

A gdy siedli nad herbatą, przy marmurowym stoliku, odetchnąwszy głęboko, począł z chmurą na czole:

— Proszę pani, ja nie lubię i nie umiem kłamać. A jak kto taki nieobyty z kobietami i taki, głupi, że nie umie kłamać, to może najlepiej prosto z mostu mówić całą prawdę... Boję się pani, jak ognia. Pani jest djabelnie ładna. Gorzej, ma pani w spojrzeniu coś tak uwodnego, co mnie nęci i rozmarza. Przypuszczam, że pani ma piękną duszę, bo ja idealizuję sobie panią. Wiem, że pani nie byłaby dla mnie miłostką, nie była przelotnym uśmiechem życia, nie byłą arlekinadą karnawałową, nie byłą zwiewną przygodą erotyczną, lecz... miłością, a więc cierpieniem. Boję się tych oczu pani, patrzących we mnie teraz tak czarownie, bo jest w nich, jakby melancholja stepów, i tęsknota dumki kozackiej. Boję się pani całej...

— A, widzi pani, ja mam swój wytknięty cel w życiu. Mam w tej chwili przed sobą pracę, wielką pracę naukową, która pochłania mnie, przykuwa i wymaga odemnie wszystkiego... To szczytna praca mego życia. Ja kocham pracę swoją i nie powinienem mieć żadnych innych bogów przed nią, ani nawet obok niej. A czuję, że jako uosobienie radości życia zabrałaby pani lwią część mej istoty dla siebie. Pokochałbym panią sercem, duszą, prawdziwie...

— A gdybym i ja?.... — wyszeptała pani Lucyna ze zwieszoną głową.

— Nawet w tym razie byłbym nieszczęśliwym, bo wykolejonym z linji swego życia, bo niewiernym Mistrzyni swej, tej dobrej Pani, którą je na serjo. Lepiej zatem zadać sobie gwałt tą, jak długo kochałaby mnie pani?... Miesiąc, dwa, lub trzy. Kobiety nie kochają tych, co biorą je na serjo. Lepiej zatem zadać sobie gwałt teraz, wyrzec się złudnego raju, jaki dalaby mi pani, lepiej odsunąć strasznemi kolcami najeżone róże, aniżeli później przechodzić katusze, cierpienia i w końcu osiąść na mieliźnie z duszą rozdartą, zakrwawioną... Pani Lucyno, pozostaniemy poprostu dobrymi przyjaciółmi! — skończył pan Wiktor i pocałował ją w rękę.

Ona odpowiedziała lodowatem milczeniem. Nagle żachnęła się i zerwała na nogi nerwowo:

— Chodźmy! Już późno.

Wyszli z kawiarni w chwili, gdy zajeżdżał przed nią samochód, z którego wysiadła młoda pani. Pani Lucyna wskoczyła szybko do samochodu, rzuciwszy panu Wiktorowi zdawkowe: dobranoc.

Odjechała. A w duszy jej grało, szumiało, syczało:

— Głupiec! Co za potworny głupiec!

Dr. Łabędzki wędrował ku domowi w obłoku zadumy, niepewny, czy zrobił krok bardzo mądry, czy też bardzo głupi. Dwie te krańcowości wydały mu się dziwnie bliskie siebie.

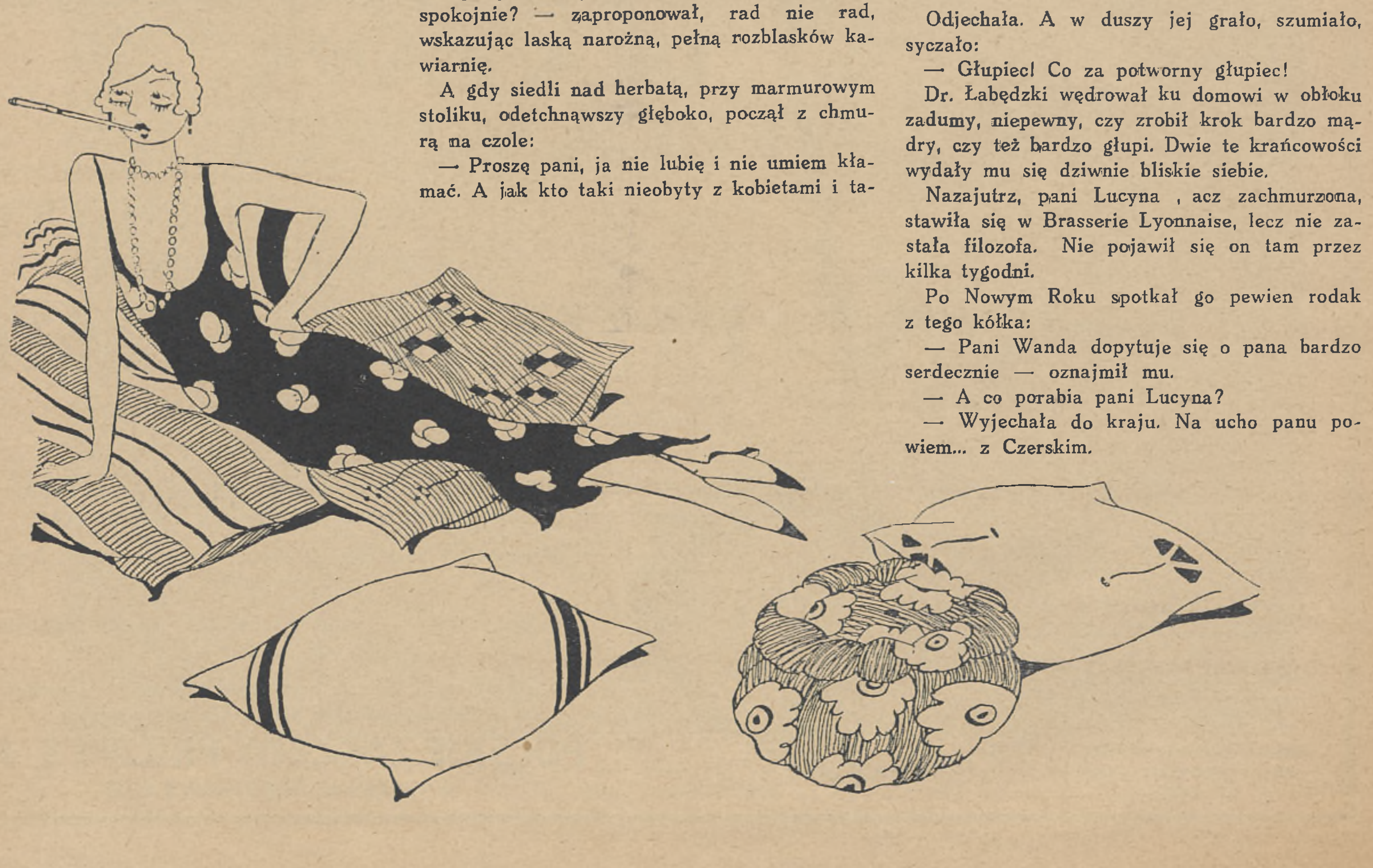
Nazajutrz, pani Lucyna , acz zachmurzona, stawiła się w Brasserie Lyonnaise, lecz nie zastała filozofa. Nie pojawił się on tam przez kilka tygodni.

Po Nowym Roku spotkał go pewien rodak z tego kółka:

— Pani Wanda dopytuje się o pana bardzo serdecznie — oznajmił mu.

— A co porabia pani Lucyna?

— Wyjechała do kraju. Na ucho panu powiem... z Czerskim.





Z okazji stulecia śmierci Szymona Bolivara złożono w Paryżu hołd pamięci oswobodziciela Ameryki Południowej, który, jak wiadomo, zakończył swój żywot w skrajnej nędzy, zapomniany — na wygnaniu. Na fotografji, pomiędzy innymi — prem. Steeg, gen. Gouraud i amb. Ameryki Łacińskiej.





Generał inż. Władysław Jaksa-Rożen, komendant główny Związku Strzeleckiego oraz podpułk. dypl. Władysław Rusin, zastępca komendanta głównego Związku Strzeleckiego, zostali odznaczeni wysokim orderem łotewskim „Krzyż Aizsargi" za zasługi, położone na polu zbliżenia pokrewnych organizacyj obrony państwa, łotewskiej i polskiej.

Przypominamy Szanownym Czytelnikom o uiszczeniu prenumeraty na kwartał 1-szy 1931 r.

Zimowe harce sportowe i mrożące igraszki losu



Jazda „włókiem".



Akrobata narciarski.



Z wichrem w zawody.



Też jazda „włókiem"

Djabli mnie biorą... Poprostu — wszyscy djabli!

Bo, proszę sobie wyobrazić, iż występując w roli „zastępcy" i zapowiadając parę tygodni temu artykuł — jak się patrzy — o zimie oraz o jej rozkoszach, któryby tym razem napisał fachowy sportowiec, ani na chwilę nie przypuszczałem, iż spotka mnie tak okrutny zawód i że wszyscy, ktokolwiek coś nie coś może napisać na ten temat, będą woleli znaleźć bardziej praktyczne zajęcie na ferje. Nie przypuszczałem, że wszyscy się rozjadą, aby pohasać po srebrzystym śniegu, podziwiać cudne panoramy górskie, paść oczy widokami ulubionych wierchów i perci — czy jak się to nazywa — wchłaniać pełną piersią mroźne powietrze — odpoczywać, mnie pozostawiając niewdzięczne zadanie ściągnięcia sarkazmów za nieudolne napisanie feljetonu.

Bo nadomiar złego i redakcja uparła się puścić tę „rozkładówkę", choćbym ją miał podpisać jako „zastępca".

Los...

Jedno mnie tylko pocieszyło, że artyście naszemu, którego pieczy powierzony jest graficzny układ numeru (pożal się Boże, jaki z niego numer!) coś strzeliło do głowy, bo oto pogardził fotosami o nartach, hockey'u i t. p., a wybrał wesołe wyczyny na śniegu i posłał te figlasy do kliszarni.

Dwie „czyste" mu za to. Trzech nawet nie pożałuję, kochanemu Rafaelowi, gdyż pomysł jego zwalnia mnie od pisania „na serjo" i mogę zacząć z innej nuty.

Opowiem więc przedewszystkiem anegdotę zimową o golasach, których nie brak wśród naszych ilustracyj.

Było to przed laty, za czasów, kiedy ludzie setki mil przejeżdżali końmi, popasając gdzie się dało i jak się dało. Do pewnego miasta prowincjonalnego zajechała para młodzieńców, mocno zdrożonych i zziębniętych, jako że wszystko działo się w trzaskający mróz. W hotelu — jednym z trzech w tym grodzie — znaleźli jedyny wolny pokój, i chociaż przylegał do sali jadalnej, w której za parę godzin miał się odbyć bal — postanowili wleźć pod pierzyny i spać. Już byli zasnęli snem sprawiedliwych, nie zważając zrazu na wzmagający się z tamtej strony ściany rumor, gdy wtem kapela ucięła od ucha i trombon zagrzmiał, jak na Sąd Ostateczny. Młodzieńcy obudzili się, a jeden z nich, nie mogąc opanować ciekawości, przytknął oko do dziurki od klucza, zaglądając do sali. I o fatalności! Tu nastąpił dramat, gdyż drzwi



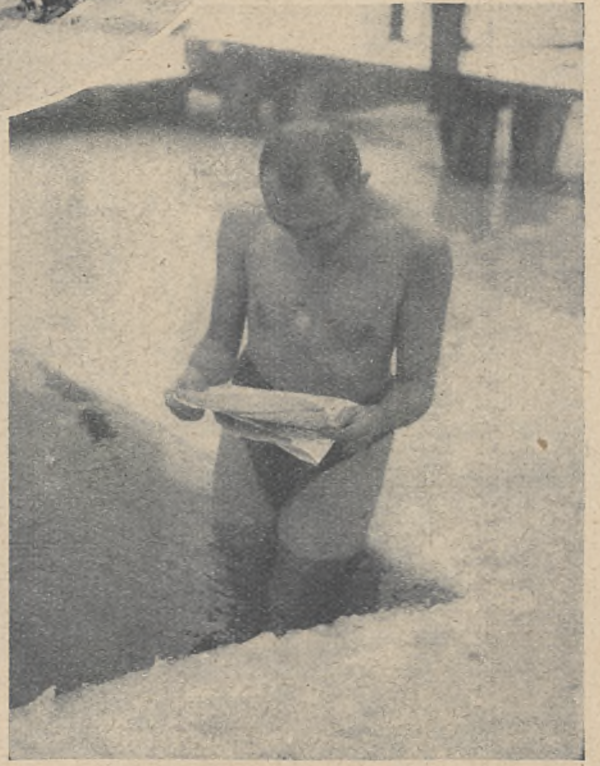
Brrr!... Jak przyjemnie...

rozwarły się z trzaskiem i młodzian, jak był w koszulinie, wpadł między tańczących. Nadomiar złego, towarzysz jego, straciwszy głowę, pośpieszył zamknąć drzwi i odciął mu odwrót. Co się działo — trudno opisać, zwłaszcza, że wówczas nie znano jeszcze rozkoszy paradowania publicznego z listkiem i damy mdlały z przerażenia, dopóki nieszczęsnego golasa nie wyprowadzono z sali.

Tak to się działo illo tempore — dziś zaś „nudystom" obojga płci i wszelkiego wieku mało już zdrowotnego pretekstu promieni letniego



Jazda saniami motorowemi.



Co słychać w polityce?...

słońca. Harcują więc wesoło po śniegu w adamowych strojach lub mokną w przeręblach — jak kto woli, gdyż twierdzą, że tak zdrowo..

Widziałem wprawdzie podczas wojny, jak żołnierze, zwłaszcza wielkoruscy, wybiegali z „bani" na mróz i okładali się kulami ze śniegu.

Zresztą — co tu mówić — nie znam się na tem wszystkiem. Mieszczuch jestem i tyle.

Słyszałem, że cwałowanie na nartach, lub karkołomne — nie skoki — lecz loty niemal ze szczytu skoczni — to nieopisana rozkosz. Podziwiałem nawet nieraz te sztuki... popijając wrzący grog w bufecie. Lecz wolę śmiać się, patrząc (z tego samego punktu obserwacyjnego!), jak to początkujący sportowcy plączą się, bezradnie walcząc z nartami i pną się mozolnie na górę, aby w chwilę potem zlatywać z potępieńczym wrzaskiem, gdyż nie tyle skrzydła ich niosą, ile przeklęte deszczułki, lubiące zaczepiać się jedna o drugą lub rozjeżdżać w strony, aż póki pan lub pani nie rozciągną się na śniegu, nogami i rękami wzywając pomocy.

Lubię przypatrywać się pięknej zabawie — tak znakomicie uprawianej przez naszych podhalańczyków — jeździe „włókiem" za koniem, boć to już nam bliższe — koń, panie tego, szlichtada...

I to jest wszystko, co mogę opowiedzieć o zabawach na śniegu.

A teraz, na zakończenie — osobiste wyznanie o pewnej szlichtadzie, tłómaczące poniekąd moją obojętność do sportów zimowych. Było to na wojnie — nad Dniestrem. Pozostałem w tyle za oddziałem, jakoże cudownie mi zasmakował rum z herbatą, w chocimskiej „kawiarni" u Moszka. Herbata dodała mi junackiej fantazji, więc postanowiłem skrócić sobie drogę, przez wertepy i jary. Nieźle mi poszło z początku, zjeżdżałem i wspinałem się wcale gracko. Ale w jednem miejscu stanąłem bezradnie — bo oto wypadło mi zjechać z tak stromej góry, iż dech we mnie zaparło. Postanowiłem dokonać tej sztuki raczej pieszo, trzymając konia w cuglach. Ale i koniowi snać nie w smak poszło to przedsięwzięcie, bo opierał się, jak mógł. Poniosło mnie wreszcie — pociągnąłem energiczniej, straciłem równowagę i pojechaliśmy wdół prędzej, niżbyśmy tego pragnęli, a gdy przyszedłem do siebie, stwierdziłem z rozpaczą, iż piękne moje „galifet" nie wytrzymały piekielnej jazdy, nie mówiąc już o tem, że z trudem mogłem usadowić się w siodle. Proszę sobie wyobrazić kilkanaście kilometrów, w trzaskający mróz, z wiatrem i bólem podszytem siedzeniem...

Wolę więc, mili ludzie, spijać szklanicę grogu (nie gardzę i innym trunkiem), przypatrując się harcom na śniegu, a gdy w zastępstwie mam pisać artykuł o sportach zimowych, wolę nawet przyznać się do mojej *sportkowej* szlichtady — byleby coś napisać.

Bo nie znam się na tem wszystkiem — i nigdy już chyba nie poznam się...

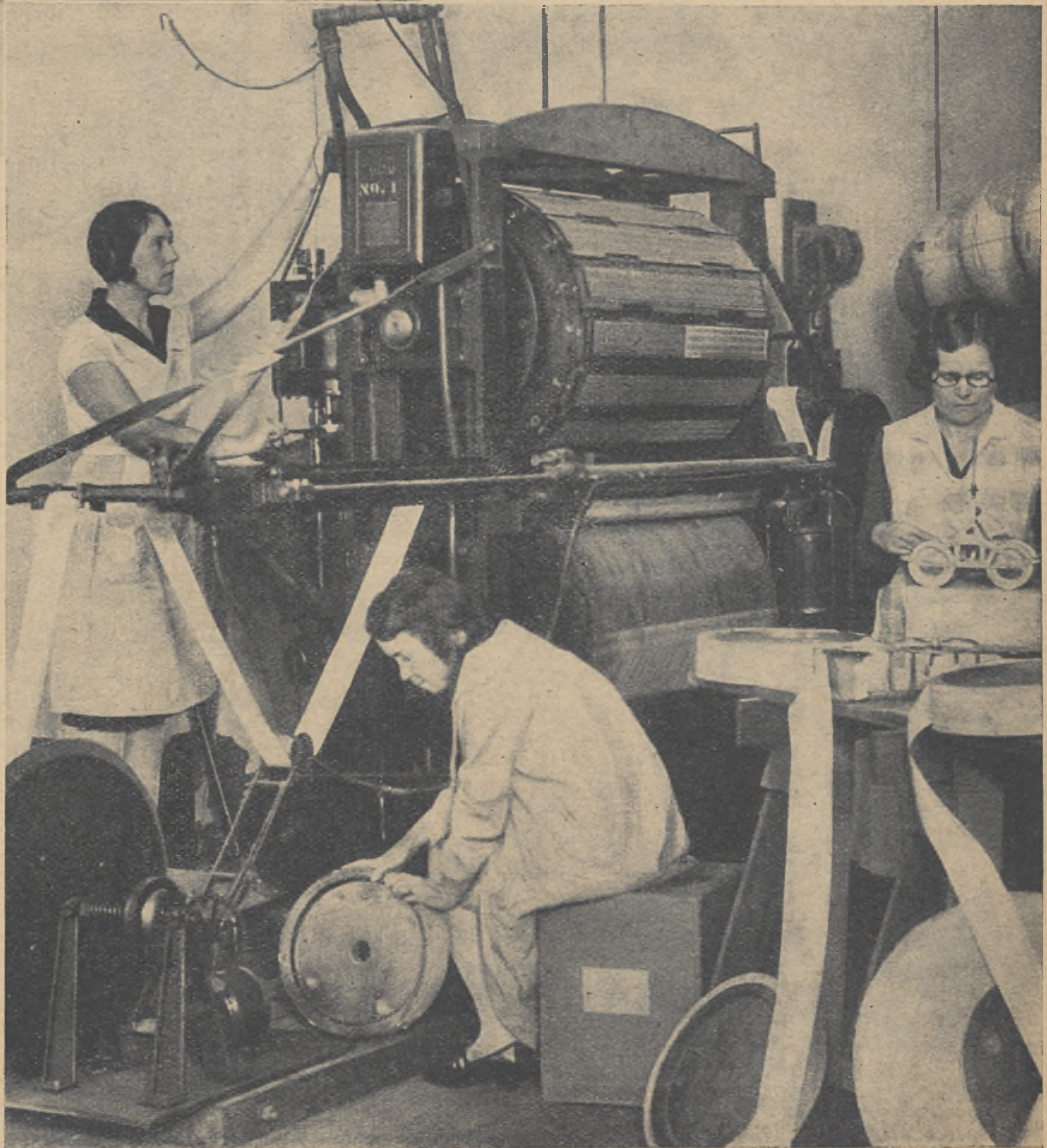
Zastępca.





Charles William, konstruktor nowego globusu.

Montowanie globusów w całość. Nawijanie taśm na wałki (z prawej)



Globus—biurem informacyjnem

W Ameryce, tym kraju nieprawdopodobnych możliwości, znalazł się pewien sprytny jegomość, niejaki Charles William, który skonstruował globus, odpowiadający wszelkim wymaganiom najbardziej kapryśnych geografów. Mianowicie, podczas gdy zwykły globus jest w stanie pomieścić najwyżej 4000 nazw krajów, rzek, gór i miejscowości nowy globus posiada 43.000, przyczem jest w stanie, w ciągu jednej niemal sekundy, dać szczegółowe dane statystyczne. Dowcip cały polega na tem, że wewnątrz kuli, na której jest nalepiona mapa, znajdują się walce, z nawiniętemi na nie wstęgami, które można przesuwać przy pomocy kółek zębatych. W okolicy równika, wycięte jest małe okienko, przed którem przesuwają się taśmy. Na taśmach zaś, wydrukowane jest drobnemi czcionkami wszystko, co badaczowi jest niezbędne. Chcąc się naprzykład dowiedzieć czegoś o Katalonji, wystarczy jednem poruszeniem palca przesunąć odpowiednią taśmę przed okienko, by tam wyczytać: położenie geograficzne, liczbę mieszkańców, klimat, płody ziemne, przemysł, handel, najważniejsze miasta i granice.

Rewolta w Hiszpanji



Generał Berenguer, zwycięski dyktator hiszpański.



Po artylerji przysła kolej na lotnictwo, gdyż oto, likwidując powstanie hiszpańskie, postanowiono usunąć z szeregów większość lotników, którzy brali czynny udział w ruchu antyrządowym, pod dowództwem mjr. Franco.



Sztab korpusu, likwidującego powstanie przeciwrządowe.

Coraz częściej zdarzają się przykłady, świadczące o tem, że monarchja absolutna należy do przeżytków. Jedno z niewielu państw monarchicznych, rządzonych absolutnie przez dyktatora, Hiszpanja, podległo nowemu wstrząsowi wewnętrznemu. Kilkudniowa rewolucja, którą zostały ogarnięte północne prowincje i miasta hiszpańskie, przyniosła w rezultacie tylko kilkuset zabitych i rannych. Jeszcze raz dyktatura zwyciężyła. Czy jednak na długo? Duchowy i fizyczny wódz rebeljantów, mjr. Franco, uciekł coprawda na teren Portugalji, jednakże nadesłał do Madrytu szyderczą depeszę, że powróci, gdyż zapomniał zabrać ze sobą czapki i pary rękawiczek.



Więzienie, z którego zbiegł mjr. Franco w wilję wybuchu powstania.



Ładowanie transportów-broni i amunicji dla wojsk powstańczych.

Teresa Humbert, największa awanturnica w dziejach świata

W jednym z najpiękniejszych pałaców, przy Avenue de la Grande-Armée w Paryżu, odbywało się wielkie przyjęcie, które zgromadziło obok wielu wybitnych dyplomatów, przedstawicieli nauki, sztuki, ludzi o świetnych nazwiskach. Miejsce obok pani domu zajmował z jednej strony minister Eugène Etienne; po drugiej siedział Jerzy Clemenceau, naprzeciw prezydenta senatu, Boyer.

Obecni byli również prezydent izby deputowanych, Meline, ministrowie, Constans, Brisson, Rouvier, Steeg, Dantreune, znakomici literaci Paul Arène i Claretie, sławny ekonomista Ives Guyot, adwokaci Labori i Clunot. Młody piękny człowiek, zatopiony w ożywionej rozmowie ze śliczną siostrą pani domu, nie widział nikogo poza swą uroczą sąsiadką. Krążyła pogłoska o bliskich zaręczynach tych dwojga. Młodemu, pięknemu człowiekowi wróżono świetną przyszłość. I słusznie: był to Paul Deschanel, późniejszy prezydent republiki francuskiej. Pani domu czyniła honory przy stole z wielkim wdziękiem i godnością. Była to brunetka, imponującej postawy, o rysach energicznych. Jej lekkość w prowadzeniu konwersacji, dowcip i inteligencja czyniły ją bardzo pociągającą. Zewsząd zbierała hołdy.

Świetne to przyjęcie odbywało się z okazji mianowania pana domu posłem do parlamentu. Świat garnął się do pałacu państwa Humbert. Nazwisko ich opromieniała legenda olbrzymiego spadku, który przypadł p. Teresie Humbert, magnetyczny blask bogactw oszałamiał ludzi.

Nikt jednak nie posiadł istotnej prawdy: znała ją pani domu wraz z rodziną: jej wspólnikami byli: mąż, brat, córka, a w pierwszym rzędzie, młoda siostra, Marja.

Wspomniane osoby w liczbie 5-ciu przez lat 20 odgrywało komedję, której równej nie odnajdzie w dziejach.

Kłamstwo, zrodzone z pychy.

Teresa Daurignac, urodzona w Tuluzie, młoda, piękna, lecz biedna, gorzała chęcią wydostania się z ciasnych warunków otoczenia. Ambicja podsuwała jej najprzeróżniejsze plany: pragnęła za wszelką cenę zmiany bytu.

W 23 roku życia zakochuje się w studencie, Fryderyku Humbert, o dwa lata młodszym od siebie. Ojciec ukochanego zajmował wysokie stanowisko, generalnego prokuratora oraz senatora.

Dumny pan ani słyszeć nie chciał o związku syna z biedną dziewczyną: upatrzył dla niego znakomitą partję, gdy jednak Fryderyk nie odstępuje od swych zamierzeń, ojciec wyrzuca go z domu. Teresa nie rezygnuje ze swego planu: postanawia zostać żoną Fryderyka mimo wszystkich stawianych przeszkód. Uzyskuje dostęp do senatora, umie go przekonać o istnieniu bogatego wuja w Ameryce, po którym odziedziczy w przyszłości wielkie bogactwa.

Senator zezwala na ślub syna z przyszłą sukcesorką amerykańskiego miljonera.

Narazie młodej parze pozostaje śnić o bogactwach, 130 fr. rocznej renty nie pozwala na szerokie życie.

Państwo Humbert wynajmują skromne mieszkanko w Quartier Latin, zarobki Fryderyka, małego urzędnika ministerjalnego są dość skąpe, zaciągają długi.

W 4 lata po ślubie w 1882 r. zachodzi wypadek, który stanowi decydujący zwrot w jednostajnem życiu małżonków Humbert. Ojciec otrzymuje nominację na ministra sprawiedliwości, przyczem syn, Fryderyk, obejmuje stanowisko kierownika kancelarji.

Teresa przystosowuje się szybko do nowych warunków, wie ona, że to pierwszy etap w karjerze, i że już tylko od niej samej zależy dostać się na najwyższe szczeble towarzystwa, by zajaśnieć w całej pełni urodą, wdziękiem i zdolnościami.

Mały pałacyk w lasku Bulońskim, służba, wytworny pojazd, oto pierwsze potrzebne rekwizyty, potrzebne do uzyskania kredytu. Ambitna kobieta przygotowuje plan genialnego przedsięwzięcia.

Za 1/4 miljona franków nabywa posiadłość Vives-Caux, wkrótce potem na własność jej przechodzą wielkie dobra na południu Francji. Kupuje fermę w Tunisie, willę w okolicy Tulonu, majątek Orsouville, ten ostatni za cenę miljona franków, a w końcu wspomniany na początku imponujący pałac przy Avenue de la Grande-Armée, w którym odbywają się odtąd nieustannie wielkie przyjęcia i bale.

Wszystkie posiadłości pani Humbert nabyła za gotówkę, pochodzącą z kieszeni łatwowiernych wierzycieli: zręcznie potrafiła wyłudzić około 20 miljonów franków.

Sposób jej polegał na grubem oszustwie: imienne papiery wartościowe zwykła przepisywać na imię męża, córki lub własne, poczem fałszowała wystawione sumy, podstawiając nowe liczby. Płaciła niesłychanie wysokie procenta, to też wciąż znajdywali się nowi dostawcy kredytów: pieniądze wpływały, jak woda.

Wielki proces przeciwko urojonym postaciom.

Dziurawego worka niczem nie zapełni, mówi przysłowie. Dało się to zastosować w wypadku p. Humbert: zatykała wciąż mniejsze dziury, by zdobyć środki na załatwienie większych. Nic to jednak nie pomagało, czuła, że stoi nad przepaścią.

Ilość wpływających pieniędzy nie wystarczała, kredyt mógł wkońcu ustać. Teresa Humbert myślała nad sposobem, któryby stał się swojego rodzaju zapewnieniem i podstawą bytu całej rodziny. Znalazła wkońcu: była to genialna kombinacja Cravford.

Jak świat światem nie wymyślono podobnie zręcznej, najdokładniej wykończonej intrygi.

Najwybitniejsi juryści, ludzie z fachu, po dziś dzień nie posiadają się ze zdumienia nad wirtuozostwem i sprawnością oszustwa. Wobec Teresy Humbert taka nawet Marta Hanau jest mierną nowicjuszką, bez fantazji

Dość często zdarza się słyszeć o szwindlach na tle legendarnych spadków.

Pani Humbert, oryginalna we wszystkiem, upiększyła tę tak pospolitą sprawę mnóstwem dodatków. Odkryła więc istniejącą rzekomo rodzinę Cravfordów, miljarderów, wytoczyła proces o spadek, zmusiła sukcesorów (nieistniejących) do występowania przeciwko postanowieniom testamentu, i t. p.

W ciągu lat 20 sprawa Humbert — Cravford była przedmiotem rozpraw sądowych, akty ważyły 4 centnary, koszta wynosiły 5 miljonów franków.

Ogół ślepo wierzył w istnienie tajemniczej rodziny Cravfordów, choć ich nikt nigdy nie widział.

Proces przypomina najbardziej sensacyjną powieść.

W roku 1883 pisma paryskie podały wiadomość, korespondenta z Riviery, o niesłychanem zainteresowaniu, jakie wywołała w tamtejszych kołach historja pewnego testamentu.

W Ameryce — według oświadczenia korespondenta — zmarł miljarder, nazwiskiem Robert Cravford, który podczas swej ostatniej bytności w Nicei złożył testament, mocą którego p. Teresa Humbert staje się jedyną spadkobierczynią olbrzymiego majątku. Pogłoski pochodziły oczywiście od samej Teresy Humbert, która je zręcznie rozpowszechniała.

Jako spólników do niebezpiecznej gry dobrała sobie brata, Ramin'a Daurignac oraz młodą siostrę Marję. Ledwo minęło pierwsze zainteresowanie, wywołane pogłoskami o testamencie, gdy świeża sensancja stała się przedmiotem nieskończonych rozstrząsań szerokich mas i prasy. Oto znalazł się jeszcze jeden testament zmarłego Roberta Cravford'a, datowany tego samego dnia, co pierwszy. Spadkobiercami na zasadzie nowoznalezionego testamentu stają się dwaj siostrzeńcy Robert i Henryk Cravford oraz 16-letnia Marja Daurignac — wszyscy troje w równych częściach. Sukcesorzy obowiązani są wypłacić Teresie Humbert miesięczną rentę w wysokości 30 tysięcy fr.

Który z testamentów jest późniejszy, to znaczy ważny — sąd nie potrafił rozstrzygnąć.

Pani Humbert udziela szeregu wywiadów prasie, między innemi opowiada o wszczęciu kroków sądowych przez siostrzeńców Cravford'a, przyczem wyraża nadzieję, iż w krótkim czasie dojdzie zapewne do skutku ugoda między stronami.

Tak się też stało, zawarto ją w 1883 r.; na mocy jej, wszelkie wartości ruchome przeszły pod opiekę i zarząd Teresy Humbert. W rok później zawarto świeżą umowę. Siostrzeńcy zmarłego miljardera, za sumę 6 miljonów franków zrzekli się swych praw, przynależnych na zasadzie drugiego testamentu.

Pozostawili sobie jedynie prawo wystąpienia w obronie ważności pierwszego.

Obydwa akty, składano w przepisanym czasie w sądzie, do zarejestrowania. Opłata wynosiła za pierwszy 75 tys. franków, za następny 40 tys. Odtąd nie wątpił już nikt w istnienie rodziny Cravfordów. Jeśli ktoś prowadzi proces, musi tem samem istnieć. Sąd zaś, pobierając taksę od zawartych umów, tem samem dowiódł obecność zapisu.

Siostra w roli kontrahenta.

Obydwa testamenty były oczywiście sfałszowane. Jako najzręczniejsze posunięcie w aferze oszukańczej uważać należy faktu umieszczenia w drugim z kolei testamencie, Marji Daurignac obok pozostałych sukcesorów Roberta i Henryka Cravfordów. W imieniu tych ostatnich i własnem, Marja, przez długie lata prowadziła proces przeciwko swej siostrze Teresie. Co więcej, Marja uzyskała od obu nieistniejących braci Cravford urzędowe pełnomocnictwo, na mocy którego przyznano jej prawo prowadzenia sprawy na własną rękę, bez osobistego uczestnictwa amerykanów. Obrońcom strony Humbert — Cravford nie przychodziło nigdy do głowy bezpośredniego skomunikowania się z Robertem i Henrykiem Cravford'em. Młoda dziewczyna, pod kierunkiem siostry, mistrzowsko grała swą rolę, najprzebieglejszemu juryście nie zaświtała myśl, iż jest ona narzędziem genjalnej intrygi.

Ta „comédie de justice", jak ją później nazwano w Paryżu, w pierwszej instancji ciągnęła się lat siedemnaście (17), przez trzy lata zaś była przedmiotem rozpraw w trybunale. Za każdym razem, jedna lub druga strona składały sprzeciw, a że w tym wypadku dwa rodzaje jurysdykcji w grę wchodziły: francuska i amerykańska, terminy apelacji były wyjątkowo długie: 7 miesięcy pozostało braciom Cravford, a właściwie Marji Daurignac do zgłoszenia apelacji, z którą zwykle zwlekała do ostatniej chwili.

Pierwszy proces, trwający lat 5, miał na celu zatwierdzenie obydwu umów. W styczniu 1890 r. sąd zatwierdza ważność obydwu umów, uprawniając tym sposobem Teresę Humbert do zarządu majątkiem spadkowym. Crawfordowie nie zgadzają się z wyrokiem sądu, przyczem jeden z braci, Robert, po pewnym czasie uznaje prawa Teresy Humbert i staje się przeciągnąć brata na swą stronę. Ten jednak nie chce ustąpić. Uważa on, iż podpisane przez Roberta jednostronnie umowa z Teresą Humbert sprzeciwia się treści dawniejszej ugody. Żąda więc od sądu cofnięcia prawa, przyznanego przeciwniczce.

(D. c. n.)



Karwowska i Freszel w „Orfeuszu w Piekle"

(fot. Malarski)



Dobosz i Szereszewska w „Orfeuszu w Piekle"

(fot. Malarski)

IMPRESJE TEATRALNE

TEATR WIELKI: „Orfeusz w piekle", opera komiczna Jakóba Offenbacha.

Najpierw uczciły pamięć Offenbacha wszystkie rewje warszawskie na sposób nieco... operowy. Obecnie uczynił to Teatr Wielki w sposób zgoła... rewjowy. Zresztą, tak właśnie powinno być. Pozatem Teatr Wielki za czasów panowania Parnella już tak się „zrewjował" („Ostatni Pierrot" zwłaszcza), że przejście do obecnej „Offenbachiady" nie przyszło mu z trudem. Tylko „girls" były „do niczego". Okazuje się, że dobrą „girlsą" można zostać dopiero po... usunięciu z zespołu Teatru Wielkiego (przykładów nie trzeba — wyjątków niema).

Z wielkiem napięciem oczekiwano natomiast przekształcenia naszych śpiewaczek operowych na „gwiazdy" operetkowo-rewjowe. Oczywiście, wybrano co młodsze i co urodziwsze. Efekt był zupełnie dodatni — pp. Karwowska, Grudzińska (idealna rzeczywiście „Venus"), Mankiewiczówna i Orłowska mogły tym razem w całej pełni kras popisać się nietylko swemi głosami, ale rzeczywiście pięknemi aparycjami. Aktorsko wszakże górował nad wszystkimi wprost niezrównany Janowski, który całą swą rolę ujął po mistrzowsku, a kupletów o „Beocji" bodaj nie można było lepiej zaśpiewać.

Zespół baletowy pracował tym razem bardzo usilnie. Zmuszony do reprezentowania kilku stylów tanecznych, od starego klasycyzmu do nowoczesnego „girlsizmu", czynił wszystko możliwe, aby podołać temu trudnemu zadaniu. Tańce można było, oczywiście, ułożyć nierównie bardziej interesująco, wykonanie było... rozmaite, ale w poszczególnych punktach (klasycznych) na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

Prym dzierżyły tu: uosobienie najczystszego klasycyzmu — niedościgniona Karczmarewiczówna, żywiołowa Leitzkówna, wzorowo staranna Szatkowska oraz harmonijnie łącząca wrodzoną taneczność ze zjawiskową urodą — Lipkowska.

Wystawa — wspaniała, olśniewająca przepychem dekoracyjno - kostjumowym. Orkiestra brzmiała przepięknie. Reżyserja Popławskiego — świetna. Na uznanie zasługują dowcipne teksty T. Dołęgi-Mostowicza. Całość jest widowiskiem bezwarunkowo godnem ujrzenia.

Henryk Liński.

Popierajcie L. O. P. P.

PIERRE MAC ORLAN.

14

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli“, zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja-Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i nieja-i Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

— Hallo! To ty, Szymonie?

Saint-Thierry telefonował, że nie może przyjść na kolację i umawiał się z nią na godzinę jedenastą w „Lisie“. O tej porze sala będzie pusta, Marja-Chantal będzie mogła na niego zaczekać. Zgodziła się na tę propozycję. Nagle zarumieniła się ze wzruszenia. Odpowiedziała parę słów i odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę siedziała przybita w fotelu. Oparła ręce o marmurowy blat stolika, żeby się trochę ochłodzić. Pyszłość roztoczyła się przed nią jak ponury film. Była pogrążona w dręczącym śnie, pełnym dziwnych obrazów, nieznajomych i bliskich zarazem.

Głos Izabelli, która wypytywała ją o dyspozycje co do kolacji, rozwiał jej ponure myśli. Weź sobie resztę pieczeni i odgrzej jarzyny...

Włożyła kapelusz i płaszcz. Zeszła ze schodów, nie wiedząc dobrze, co się z nią stanie, gdy znajdzie się na ulicy.

— Nie, nie będziemy na kolacji w domu. Pan przed chwilą do mnie dzwonił. Wrócimy o dwunastej. Położysz się spać, kiedy zechcesz. Rób, co ci się podoba. Możesz iść do kina...

Przyciągnęły ją światła placu Clichy. Czerwone, złote, zielone, różowe lampki reklam tworzyły prawdziwą feerję, która puszczała w ruch romantyczne składniki paryskiej nocy. Marja-Chantal szła powoli, nie zwracając uwagi na nikogo, jak przystało na prawdziwą powojenną Paryżankę. Stanęła na rogu ulicy Coulaincourt i bulwarów, zanim weszła na most. Nie wiedziała, co ma postanowić. Wyszła z domu dręczona straszną myślą, która po raz drugi nadawała jej przeczuciom wyraźny kierunek.

Wychodząc dawniej z domu, Marja-Chantal, miała ułożony program. Wiedziała, dokąd pójdzie na obiad i komu złoży wizytę. Ulica mogła jej przynieść tylko niewielkie niespodzianki, których łatwo można było uniknąć. Ulica paryska nie podporządkowywała jej grze wielobarwnych świateł.

— Dokąd pójść na kolację? — myślała.

Nazwy restauracyj, które odwiedzała sama lub z mężem, nie przychodziły jej wcale do głowy. Patrzyła na mknące samochody i myśl jej uciekała daleko. Nazwisko Eligjusza Muttera przypomniało jej się w tej samej chwili, kiedy żółta mysz zapalała się na niebie i wpadała w zielone koło reklamy papierosów.

— Naturalnie, pójdę do Muttera. Trzeba było odrazu o tem pomyśleć. Pójdziemy do restauracji razem. Zaprosi mnie na kolację i potem spotkamy się z Szymonem w „Lisie“.

Poszła prędzej, żeby zdążyć na ulicę Ravignan przed zamknięciem sklepu.

— Nie zamyka wcześniej niż o wpół do siódmej — myślała Marja-Chantal, przyśpieszając kroku.

Była zachwycona swoim pomysłem. Mutter był dobrym towarzyszem. Bawił ją i dziwił czasami. Niekiedy budził jej litość, gdyż był samotny, nie miał nikogo, ktoby się nim zaopiekował oprócz tego kocmołucha Chéri-Bibi.

Zobaczyła zdaleka Muttera, który zamykał właśnie okiennice w swoim sklepie. Marja-Chantal zaczęła biec i zdyszana dopadła swego przyjaciela.

— Co za niespodzianka! Niech pani wejdzie do gabinetu. Zamknę tylko okiennice. Czy Saint-Thierry jest z panią?

Marja-Chantal weszła do ciemnego pokoju, starając się nie potrącić kosztownych przedmiotów. Zmierzała poomacku do światełka, przyćmionego wielkim abażurem w gabinecie antykwarjusza.

Usiadła w miękkim fotelu, zdyszana i zdziwiona tem, że znalazła się sama, o takiej porze, w tym małym pokoiku.

— A więc Saint-Thierry panią zaniedbuje? — spytał Eligjusz Mutter, wróciwszy po zamknięciu sklepu.

— Jestem dziś sama. Nudziłam się, więc przyszłam, żebyśmy poszli razem na kolację. To chyba dowód przyjaźni.

— Naturalnie, naturalnie — mówił Eligjusz Mutter, niemniej zmieszany, niż Marja-Chantal.

— Pójdziemy na kolację do małej restauracyjki. Dają tam jeść wcale nie źle. Jeśli pani pozwoli, przygotuję swoją „zasadzkę“. To cała operacja, ale trzeba się wystrzegać włamywaczy. Żyjemy w czasach morderstw i okrucieństwa, droga pani Saint-Thierry.

Eligjusz Mutter przygotował dzwonki alarmowe i mały aparacik z kilkoma drutami, które były dyskretnie ukryte wzdłuż drzwi i okien.

— Skończone. Nie radzę nikomu wchodzić tutaj w mojej nieobecności. Gdyby ojciec Noël-Caid był taki ostrożny, żyłby jeszcze dziś, gdyż jak mi powiedziano, cieszył się dobrem zdrowiem. Przejdziemy przez podwórze.

— Mąż telefonował do mnie — zaczęła Marja-Chantel — telefonował do mnie...

— Do djabła — mruknął Mutter.

Marja-Chantel zarumieniła się.

— Tak, telefonował, żeby mi powiedzieć, że nie wróci na kolację i będzie na mnie czekał o jedenastej w „Lisie“.

— No, to oddam panią w jego ręce, gdyż mam się też tam spotkać z Flahaut'em i Gaudet'em.

Na rogu ulicy Tholozé i des Abesses Eligjusz

Mutter obejrzał się kilkakrotnie. Jakiś człowiek szedł za nimi w odległości kilku kroków.

— Zaczekamy chwilę — rzekł Eligjusz Mutter półgłosem. — Przepuśćmy tego człowieka. Nie lubię ludzi, którzy następują mi na pięty.

Marja-Chantal stanęła. Człowiek dogonił ich, zeszedł na jezdnię, żeby ich nie potrącić. Zdawał się nie zwracać na nich uwagi.

Był wysoki, tęgi, w dużym filcowym cowboyowskim kapeluszu. Kiedy oddalił się w kierunku ulicy Lepic, Mutter i Marja-Chantal ruszyli dalej.

— Znam go dobrze — mruknął antykwarjusz.

— To Hiszpan, którego ja lepiej znam niż on mnie.

Mutter roześmiał się.

— Czy pan nie był w Barcelonie przed dwoma tygodniami? — spytała Marja-Chantal.

— Ależ nie... musiała się pani pomylić... Zdawało się pani, że to ja... W Paryżu jest pewien agent towarzystwa ubezpieczeń, podobny do mnie, jakby był moim bratem. Jest to źródło ciągłych nieporozumień.

— Ale ja wcale nie mówię, że pana widziałam, panie Mutter — przerwała Marja-Chantal.

— Dobrze, dobrze — powtarzał Mutter, zacierając ręce z miną, głupio zadowoloną.

XI.

Pewnego wieczora, w kilka miesięcy po powrocie z Barcelony Saint-Thierry i jego żona położyli się, nie odzywając się do siebie.

Sprzeczka zaczęła się przy kolacji, kiedy Marja-Chantal po raz trzeci zwróciła się do męża o pieniądze.

— Czy nie możesz poczekać do jutra? Cóż dziwnego, że chwilowo nie mamy pieniędzy. Zresztą powinniśmy zmienić mieszkanie. Będę prawdopodobnie musiał dużo podróżować. Chcę, żebyś jeździła ze mną! Uważam, że wobec tego nie trzeba zatrzymywać drogiego mieszkania, w którem rzadko będziemy przebywali, i karmić służącą, tylko po to, żeby pilnowała czterech pustych pokojów. Najlepiej byłoby sprzedać meble, to znaczy uwolnić się od wszystkich więzów, które nas krępują. Dlaczego nie mielibyśmy wziąć pokoju w jakimś porządnym hotelu? Jeśli mam wierzyć memu szefowi, będę musiał przez dłuższy czas być zagranicą. Zaczniemy zapewnie od Barcelony. Lubisz przecież to piękne miasto.

— Nie — odpowiedziała krótko Marja-Chantal.

— Kilka dni temu mówiłaś coś innego. Pamiętasz, Eligjusz Mutter był wtedy z nami? Trzeba być konsekwentną.

— Nie chcę sprzedawać mebli i nie chcę się przeprowadzać — powiedziała Marja-Chantal.

— Głupie rozumowanie. Byłabyś na pewno szczęśliwsza i lepiej ubrana, gdybyśmy nie potrzebowali płacić służącej i siedem tysięcy franków za mieszkanie.

— Więc doszedłeś już do tego?

Marja-Chantal spojrzała ze złością na męża.

— Tak, do tego doszedłem. Dobra sobie jesteś. Nie rozumiem cię. Tak samo, jak wszyscy i ja mogę być raz na wozie, raz pod wozem. Ten kryzys daje się wszystkim odczuć. Dopiero wczoraj mówił mi Flahaut, że stagnacja dosięgła nawet wielkiego przemysłu. Mówiono mi...

Marja-Chantal przerwała mu:

— Jak ci płacą w prefekturze policji? Przypuszczam, że dostajesz miesięczną pensję... Taki zwyczaj we wszystkich biurach.

— Tak... oczywiście...

— Ile zarabiasz miesięcznie?

— To zależy... Cóż to za indagacja?

Saint-Thierry wstał. Ręce mu drżały ze zdenerwowania. Odwrócił się od żony i zamyślił głęboko. Po chwili wyszedł do przedpokoju. Marja-Chantal usłyszała, jak zamknęły się za nim drzwi.

Siedziała nieruchomo w fotelu z zamkniętemi oczami.

— Proszę pani, czy pan wróci na kolację? — spytała Izabella, ukazując się w drzwiach. — Muszę pani powiedzieć, że wszystko słyszałam. Jeżeli pan chce mnie wyrzucić, wolę żeby to zrobił już teraz, bo mam na widoku miejsce u kawalera z piątego piętra. Bardzo będę pani żałowała... to się rozumie... ale muszę myśleć o sobie. Teraz mam okazję...

— Zrobisz, jak będziesz chciała — powiedziała Marja-Chantal bezgranicznie zmęczona.

— W takim razie powiem temu panu, że się zgadzam. Ale zostanę do poniedziałku, dziś mamy czwartek... Lubię zostawiać zawsze wszystko w porządku...

— Dobrze. Obliczymy się w niedzielę.

Marja-Chantal była bliska płaczu. Zaczynała się rozczulać sama nad sobą. Nagle zdecydowała się wyjść. Przewróciła wszystkie szuflady, szukając pary rękawiczek.

— Wychodzę, Izabello. Jeśli pan przyjdzie przedemną, powiedz mu, że poszłam do pana Muttera, aby prosić... Nie, powiedz mu tylko, że jestem u pana Muttera. Zrozumie, poco...

Marja-Chantal zawołała taksówkę i kazała się zawieźć do prefektury. Chciała się zobaczyć z panem Saint-Thierry. Nikt nie mógł jej dać żadnych informacyj. Odesłano ją do sekretarjatu.

— Nie znamy nikogo tego nazwiska — usłyszała odpowiedź.

Kiedy w sekretarjacie spytano ją, czy ten Saint-Thierry jest jej krewnym zastanowiła się chwilę i powiedziała: nie.

— Dziękuję panu, widocznie się pomyliłam.

Wróciła do domu, nie wstąpiwszy do Muttera. Była gotowa do walki. Określone, rozpaczliwe myśli wirowały jej w głowie. Starała się uporządkować je, ułożyć plan ataku, przewidzieć trudności.

„Szymon skłamał".

Nie brzydziła się kłamstwem, gdyż w większości wypadków jej własnego życia mało ceniła prawdę. Tymczasem nie przestawała powtarzać:

„Szymon skłamał... skłamał... Nie pracuje w prefekturze... Dlaczego skłamał?"

Tym razem to kłamstwo wydało jej się czemś poważnem. Czuła, że godziło ono w bezpieczeństwo jej własnej egzystencji.

— Muszę poznać przyczynę tego kłamstwa — myślała Marja-Chantal — i wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze, które zarabia...

Rozmyślała, gryząc wargi. Wysiłek jej myśli dochodził do bolesnego wprost natężenia. Dokoła niej zapadała noc. Czuła, że wszystkie światła jej życia gasną kolejno powoli. Widziała we mgle przyszłości wszystkie etapy swej nędzy. Wyobraziła sobie pewną noc, kiedy oboje, Szymon i ona, dojdą do kresu swych dróg.

(D. c. n.)

Wśród książek i wydawnictw

GEORG FINK: „Zabłąkałeś się?" — Wydawnictwo „Alfa" — Warszawa, 1931.

Książka ta, podobnie jak i pierwsza, tak głośna rzecz Finka — „Jestem głodny", obudzi powszechne zainteresowanie. Lecz mimo, że, istotnie, dla różnych powodów na to zasługuje — nie jest książką, którą można polecić każdemu. Napisana śmiało i z nadmiernie nawet brutalnym realizmem, który zwłaszcza w Niemczech cieszy się, jak widać, coraz większem powodzeniem, porusza bez ogródek wszystko, co tai się na dnie najbardziej plugawego życia wielkich miast — Berlina i Hamburga. Przekrój ten podobny jest do cuchnącego kanału, po którym brodzą ludzie — nie ludzie, a dwunożne zwierzęta, cierpiące, głodujące, zdeprawowane. Nie przenika tu żaden promień światła, ani jakiekolwiek tchnienie ożywczego powietrza. Chodzą tu wprawdzie warjaci-filantropi i warjaci-wywrotowcy, ale czyż zdołają oni podnieść te miljony cierpiących istot? Więc beznadziejność?... Czyż więc miałoby to być piekłem, skąd niema wyjścia?... Autor nie daje nam odpowiedzi na to dręczące pytanie, gdyż nie dowiadujemy się, ani nawet nie możemy się domyśleć — co pocznie z sobą człowiek, który zdołał wyrwać się z tego bagna. Bo stojąc u wrót nowego jutra, nowonarodzony nędzarz życiowy sam nie wie, czego ma pragnąć — może chyba niespodzianki, która ukoi „nieśmiertelny ból, odnawiający się w każdym człowieku"? Na tle tej potwornej sarabandy ludzi-zwierząt autor, rozwinął pewną fabułę — dzieje trojga, niesamowitego, jak sama powieść, „trójkąta". Spojone to wszystko niby miłością — choć w samej rzeczy nic to innego, jak zwyrodnienie, rozpasanie instynktów zwierzęcych. Bo nie masz miejsca na uczucie, powszechnie zwane miłością, w tem upiornem środowisku. Bo gdyby choć iskierka miłości rozświetliła te mroki, kto wie, ponury autorze, czyby się nie udało rozkrzesać ogniska i w jego cieple zabrać się do gojenia ran — do pracy twórczej? Lecz w miłość trzeba przedewszystkiem umieć wierzyć...

„NARÓD I WOJSKO"
ORGAN ZAKONU MŁODEJ POLSKI
UKAZAŁ SIĘ NR. 10.
CZYTAJCIE WSZYSCY — CZYTAJCIE WSZYSTKO.

„ŻYCIE POLSKIE".

Współczesna publicystyka polska odczuwa brak czasopisma, które w sposób spokojny i poza - partyjny ujmowałby zagadnienia współczesnego życia politycznego, społecznego i literackiego. Istniejące „Myśl Narodowa" i „Myśl Niepodległa" mają charakter wybitnie partyjny, służą określonej tendencji, a temsamem, mimo swe walory, nie odpowiadają rzeczowym wymaganiom. Należy pojawienie się „Życia Polskiego" nowego tygodnika pod redakcją senatora L. J. Everta, znanego i wybitnego działacza politycznego i społecznego, powitać z dużem uznaniem, a to tembardziej, iż p. senator Evert wykazał niepoślednie zdolności redakcyjne w skonstruowaniu pierwszego numeru.

Numer pierwszy łączy cechy pewnej akademickości z jednoczesną barwnością i aktualnością ujmowanych zagadnień.

Życzymy „Życiu Polskiemu" z całą koleżeńskością, aby po tak dobrym debiucie, numery następnie wcieliły ,w całej pełni, wysuniętą w artykule wstępnym zasadę rozwagi, objektywnej myśli i syntetyzującego spokoju.

Numer pierwszy zawiera: poza artykułem wstępnym, przyczynek do podstaw naszej polityki pióra prof. posła Makowskiego, Refleksje Sejmowe senatora Baranowskiego, Oczy Sfinksa — ustęp z przygotowywanej do druku pracy Wł. L. Everta, Feljeton Literacki Hulki — Laskowskiego, podstawowy artykuł gospodarczy, omawiający podłoża światowego kryzysu dr. B. Pikusy, retrospektywnie ujęty Przegląd Polityczny Zagraniczny, wdzięczny wierszyk nastrojowy i ciekawe przyczynki aktualne p. t. Głoty teraźniejszości.

WIELKI SYLWESTER
W „MORSKIEM OKU"

We środę dn. 31 b. m., o godz. 12-ej w nocy, teatr „Morskie Oko" występuje ze wspaniałem widowiskiem p. t. „Wielki Sylwester w Morskiem Oku". Udział biorą: Zula Pogorzelska, Janina Sokołowska, Stanisława Nowicka, Vera Bobrowska, Ela Antoszówna, Duet Ney, Władysław Walter, Eugenjusz Bodo, Tadeusz Olsza, Stanisław Sielański, Jan Woycieszko, Jerzy Roland, Wacław Kucharski, oraz gwiazda ekranu polskiego — Witold Conti — w piosenkach polskich, włoskich i hiszpańskich, Henryk Wars, znakomity kompozytor przy fortepianie, 12 girls, 8 boys i orkiestra — jazz pod dyrekcją Stanisława Nawrota. W ten sposób „Morskie Oko" zaprezentuje największe przeboje ostatnich rewji w wykonaniu ulubionych gwiazd i niewątpliwie zgromadzi najwytworniejsze sfery publiczności, dla których dyrekcja teatru szykuje miłe niespodzianki w postaci perfum, win, likierów i t. p.

W kraju krezusów dolarowych



W ojczyźnie dolara dzieje się coraz gorzej. Bo produkować można masowo i bez liku, byleby byli konsumenci. A że ich brak, więc wylegają miljonowe rzesze ludności choćby po skromny zasiłek pozbawieni warsztatu pracy, głodni, nędzni i kontentują się ochłapami ze stołów wielkopańskich, a właściwie prowizją spożywczą, którą rozdają w braku nabywców składy kolonjalne. Przykład, dany w tym względzie przez miasto St. Louis, został zastosowany i w innych osiedlach ludzkich Stanów Zjednoczonych. Przykład niezgorszy — a jednak objaw nader smutny, świadczący na niekorzyść idealnie, rzekomo, zorganizowanych poddanych z pod gwiaździstego sztandaru.

Okładkę projektował Leon Chejfec

ROZRYWKI UMYSŁOWE

REKONSTRUKCJA KWADRATU MAGICZNEGO.

k				a
	o		a	
		a		
	a		i	
a				s

Puste kratki wypełnić literami tak, aby utworzył się kwadrat magiczny, w którym wszystkie słowa czytają się pionowo i poziomo.

Znaczenie słów:

1. Ogrodzenie okien;
2. Imię męskie;
3. Kochanek;
4. Niedrogo;
5. Imię męskie (zdrobniale).

ZADANIE KONIKOWE.

Księ	lek	Pat	le	przez	no
skrzyp	Na	Żyć	wej	skrzy	W se-
kiej	szyb	wem	rzy	dy	srebr.
ro	i	sza-	Śnieg	tle	się
ty	mgle	chać	nie	ne	życ
chrzest	fi	kwia	księ	sły-	ba

Obejść powyższy kwadrat ruchem konika (skoczka szachowego) tak, aby utworzył się wyjątek z wiersza Tuwima.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU KRZYŻÓWKOWEGO Z NR. 46.

	F		O		E		E		U		Y		A		A		Y
K	R	O	K	O	D	Y	L	O	R	O	P	O	K	R	N	O	N
W	Y	B	O	R	Y	D	O	P	A	R	L	A	M	E	N	T	U
E	Z	O	P	A	L	Ą	B	A	Ń	D	A	Z	A	J	Ą	Z	D
F		I		K		W		R		A		Y		A		C	

NAGRODY.

Za rozwiązanie krzyżówki - logogryfu z N-ru 46 nagrody otrzymują:

zł. 25

p. Kazimierz Barylina, Włodawa 2, dworzec kolejowy.

Książki beletrystyczne: p. Władysław Słabicki, st. sierżant, Kołomyja, al. Jagiellońska 47; p. Janusz Bratociński, Lwów Korpus Kadetów Nr. 1, komp. IV.

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę

w postaci 25 złotych,

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin do dn. 7 stycznia 1931 r.

KROCZYMY NAPRZOD!

Żyjemy w epoce, w której na wszystkich polach pracy ludzkiej coraz donioślejszem echem rozbrzmiewa hasło współczesnej myśli twórczej, a hasłem tem, osią i promotorem czynu, jest — zasada bezustannego postępu.

Czy to w nauce, czy w sztuce, czy w handlu, czy w przemyśle, czy w rzemiośle, czy w wychowaniu, czy w drobnem nawet gospodarstwie domowem — wszędzie naukowa organizacja i udoskonalanie metod pracy przechodzą z roli skromnych doradców do roli władców i rozkazodawców, szczodrze obdarzających łaskami swemi tych, którzy chcą być im posłusznymi.

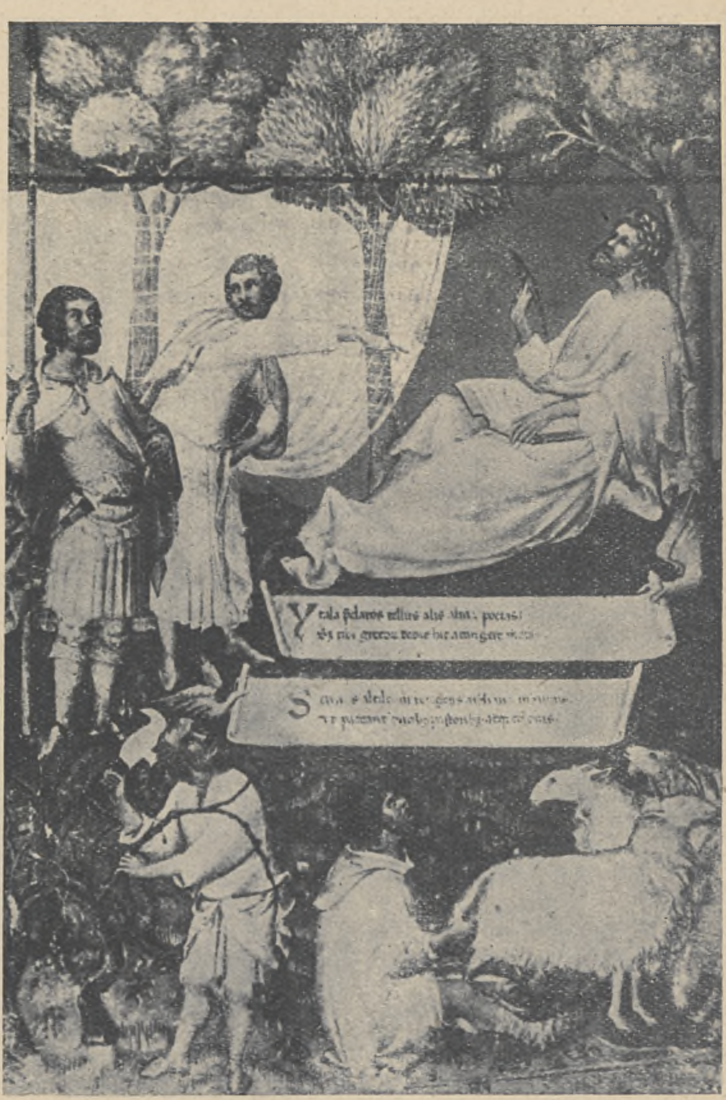
A jakkolwiek ta kulturalna emancypacja pracy ludzkiej jest wybitną cechą czasów ostatnich, to jednak rozumienie jej konieczności powstało znacznie wcześniej, i na naszym polskim gruncie nie brak placówek przemysłowych, na których wytwórczość oddawna opartą została na jaknajdalej idącem uwzględnieniu pierwiastków nauki i postępu. Do placówek tego typu należy najstarsza w kraju fabryka przemysłu mydlarskiego i perfumeryjnego, S. A. „Fryderyk Puls".

Założona przed bezmała 80 laty przez Fryderyka Pulsa, mała wytwórnia mydeł toaletowych w ciągu pierwszych paru dziesiątków lat swego istnienia ograniczała swą produkcję do wyrobu jednego tylko gatunku mydeł — mydeł glicerynowych — przyrządzanych sposobem najprymitywniejszym.

Minęło lat 19 — i w r. 1871 mały warsztacik przeradza się w fabrykę, urządzoną według ostatnich wymagań ówczesnej techniki, obejmując zarazem pokrewne gałęzie wytwórczości: kosmetykę i perfumerję.

Znacznie szybszego tempa nabiera rozwój fabryki od r. 1892, t. j. od czasu, kiedy z rąk steranego wiekiem i pracą, a nie posiadającego bliższej rodziny F. Pulsa przedsiębiorstwo przeszło do rodziny Neprosów; odtąd wszystkie poczynania są realizowane przy jaknajszerszem uwzględnieniu postulatów zarówno technicznych, jak i naukowych. Inwestycje poczynione stawiają i utrzymują fabrykę na poziomie zachodnio - europejskim, a w r. 1906 zostaje zorganizowany specjalny dział naukowy pod kierownictwem D-ra Gustawa Litterera, który utworzył laboratorjum analityczno - doświadczalne, założył bibljotekę naukową, wprowadził nowe metody gotowania mydła, oraz rozwinął działy: perfumeryjny i kosmetyczny.

Wielka wojna i związane z nią wstrząsy gospodarcze nie powstrzymały rozwoju przedsiębiorstwa. Po przejściowem zmniejszeniu zakresu swej pracy fabryka powróciła do dawniejszego tempa produkcji, — a ogrom postępu technicznego i naukowego, dokonanego chociażby w ostatniem 10-leciu ocenić potrafi każdy, kto zechce porównać obecną fizjonomję produkcji z jej obliczem poprzedniem; dość byłoby wspomnieć o powstaniu nowej fabryki mydła, wyposażonej w najnowsze maszyny i udoskonalenia techniczne.



Tablica z wyobrażeniem sceny hołdu Wirgiljuszowi odkryta niedawno w Italji.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Zofja Kossak Szczucka — Dzień Dzisiejszy — Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej — Kraków, 1931.

P. Zofja Kossak-Szczucka zdołała już zapoznać licznych czytelników z wszechstronnością swego talentu. Pierwsza jej książka — „Pożoga", która, notabene, w krótkim czasie doczekała się IV-go wydania, jest całkiem odmienną od „Złotej Wolności", od „Szaleńców Bożych", lub wreszcie od ostatniej rzeczy, która została przyjęta z ogólnem uznaniem najsurowszej bodaj krytyki — „Legnickiego Pola". „Dzień Dzisiejszy" skromnie został nazwany przez autorkę — „powiastką", lecz i ten termin nie koniecznie odpowiada rzeczywistości, gdyż byłbym raczej skłonny potraktować tę książkę, jako doskonały reportaż, ujęty w formę powieściową o różnych ludziach, z którymi z pewnością stykała się — na wsi i w mieście, na skoczni i na wystawie krajowej. Z lekka tylko zarysowuje ich charaktery, lecz doskonale podchwytuje ich ruchy, łowiąc słowa — tak jakby to uczynił dziennikarz wciskający się z notesem w ręku do ciżby ludzkiej. Obrazki te są doprawdy świetne. Potraktowane z humorem, lecz bez sarkazmu, bezstronnie — *en passant*. Chwilę szczerego sentymentu czujemy, kiedy autorka opowiada o ludziach z jej stron — z Podola i z Ukrainy, i o sferach ziemiańskich, które doskonale zna z wszystkiemi ich zaletami i przywarami, jak również i z kłopotami. Książka jest dobra, miła w czytaniu i o poczciwej intencji. Oby takich jaknajwięcej!

Tadeusz Sinko — Nasz przyjaciel Maro, — Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej — Kraków, 1930.

Na znakomicie uchwyconem tle Rzymu, jego spraw i ludzi, rozwija zasłużony badacz historji i kultury starożytnej dzieje życia i twórczości Wergilego, analizuje trafnie *Bukoliki*, które tak szybką i wielką swemu twórcy przyniosły sławę, *Georgiki*, wspaniały poemat o naturze, życiu i pracy Italji, a wreszcie monumentalną *Eneidę*, która wyrosła istotnie w wyśnioną przez poetę „świątynią sławy" latyńskiej, stała się „palladium" gwarantującem wielkość Rzymu, w opinji współczesnych i potomnych.

Wyjątkowo obszernie i ciekawie potraktował też prof. Sinko związki Wergiliusza z poezją polską, ciągnące się nieprzerwanem pasmem za czasów renesansowych aż do lat ostatnich.

Monografja prof. Sinki jest nader cenną i potrzebną zdobyczą naszej literatury, wiele korzyści przyniesie nietylko filologowi, szczególnie nauczycielom szkół średnich, ale również będzie powitana przez największe grono czytelników polskich, którym nie obce jest nazwisko tego, którego Dante zwał — „altissimo poeta".

JIM POKER.

Kobieta i pajac

Mówią, że Polki, to najpiękniejsze kobiety świata. Słusznie.

Mówią, że Polki, to najinteligentniejsze kobiety świata. Słusznie.

Mówią, że Polki, to najpatrjotyczniejsze kobiety świata. I to słuszne w znacznej mierze.

Ale rację ma dopiero mój przyjaciel Jurek, kiedy twierdzi, że podobnie „interesujących" kobiet, jak w Polsce, niema nigdzie.

Bo, proszę państwa, Jurek kocha się od roku w pewnej pięknej pani, której na imię Irena. I z tego powodu, powiedziawszy stylem Hemara... „przeżywa".

Myślicie zapewne, że „mnóstwo zabardzo" niebiańskich rozkoszy: O nie! Jest wręcz przeciwnie.

Przeżycia miłosne Jurka wyglądają w streszczeniu jak niżej.

Poniedziałek rano. W gabinecie Jureczka dzwoni telefon. Allo?

— Jureczku, to ty... To ja, Irusia... Byłam chora, nie mogłam. Ale już jutro, napewno. Zadzwonię z samego rana. Ależ przyjdę, napewno przyjdę... Stęskniłam się... No, pa... całuję.

Wtorek. Jureczek cały dzień siedzi przy telefonie. Co dzwonek dostaje palpitacji serca. Ale dzwonią wszyscy— krawiec z niezapłaconym rachunkiem, Lola, — porzucona kochanka, ciotka z „elefantasis", przyjaciel, chcący „strzelić" na 50 złociszów do jutra... Wszyscy, tylko nie Iruchna.

Środa, czwartek, milczenie. Piątek, o dziwo — telefon. Miły, słodki głosik, jakby nigdy nic: — To ja—Irusia. Wiesz, nie mogłam... Zresztą, jeśli mnie kochasz naprawdę... No, dobrze. Jutro nie mogę... w niedzielę też... zadzwonię w poniedziałek, bo mi już bardzo tęskno... Całuję w oczko...

Poniedziałek. Prawdziwy cud. Telefon dzwoni o określonej godzinie (ktoby to u nas na jakie trzy kwadranse opóźnienia zwracał uwagę). Rozmowa:

— To ja... Irusia. No, widzisz — dzwonię... A ty wątpiłeś... paskudny... Czy się zobaczymy?... No, oczywiście, i to jaknajprędzej. Przyjdę do ciebie... przygotuj coś... oczywiście, bardzo skromnie, żadnych wódek, bo nie piję... najwyżej kropelkę winka... O której godzinie?... Czekaj... dziś to już nie, bo późno, mam tyle do załatwienia... Jutro, dobrze?... Zadzwonię zrana... Co, nie chcesz, żebym dzwoniła, mówisz, że to kpiny?... Jaki niedobry, nie ufa mi... I mówi jeszcze, że mnie kocha... Brzydki jesteś, Jureczku... No, już dobrze, nie złość się. Przyjdę. Umówimy się odrazu. Jutro o piątej u ciebie... tylko wypraw służącą... Pa, niedobry.

Wtorek. Godzina ósma wieczór. Jureczek już półczwarta godziny siedzi markotno na świeżo wytrzepanym tapczanie.

— Nie przyszła... Trudno. Trzeba z tem skończyć. Pójdę w świat, znajdę sobie inną.

Ale nazajutrz rano telefon: — Jureczku? To ja... Irusia. Nie gniewaj się. Naprawdę nie mogłam... Jak cię kocham... Nie, ja tak nie chcę... Będę płakać zaraz. Takiś niedobry... Przecież to nie moja wina. Jeśli chcesz, to mogę się zobaczyć z tobą choć zaraz... A widzisz, to ty nie chcesz... Masz zajęcie... zawsze wtedy, kiedy ja chcę się z tobą spotkać... No, dobrze, zadzwonię w południe i umówimy się na wieczór. Tylko żebyś miał dużo czasu, bo Irusia już bardzo stęskniona... Pa, kochanie...

O trzeciej dzwonek. Jureczek z niepokojem zdejmuje słuchawkę.

— Miałaś przyjść do mnie...

— To tak strasznie daleko. I sama boję się. Zresztą jest już późno. Wiesz co? Muszę jechać do krawcowej na Bielańską. Przyjdź o czwartej, na przystanek przed dworcem, wiesz, tam, gdzie siedemnastka... Pilnuj siedemnastek i dziewiętnastek. Jak nie będę w pierwszej, to w drugiej... postaram się w pierwszym wagonie, ale jak nie będzie miejsca...

Podobno owego dnia Jureczek zmasakrował aparat, za co „Pasta" przysłała mu rachunek na osiemdziesiąt kilka złotych. Uchroniło go to przez kilka dni od telefonów słodkiej Iruchny.

Ale Iruchna nie dała za wygraną. Po trzech dniach przyszedł czuły list z wyrzutami...

Jureczek znów „przeżywa". Nie wiem, czy dopnie w końcu spodziewanego rendezvous, czy też, jak ów murzyn z anegdotki, zostanie „humanitarnie" zastrzelony, albowiem władze będą się lękały, aby nie umarł z wycieńczenia.

Francuzka, Angielka, Niemka, Włoszka, czy Hiszpanka oddawna przecięłaby wszelkie wątpliwości. Albo — „Tak" — i weszłaby w inwentarz Jurczynej garsonjery, albo—„Nie" — i „ni vu, ni connu"... Ale Polki są przecież takie interrrresujące i takie niebanalne...

O jakież szerokie pole do popisu miałby Pierre Louys, gdyby swoją „Kobietę i Pajaca" pisał w Warszawie.



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy

Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI — Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.